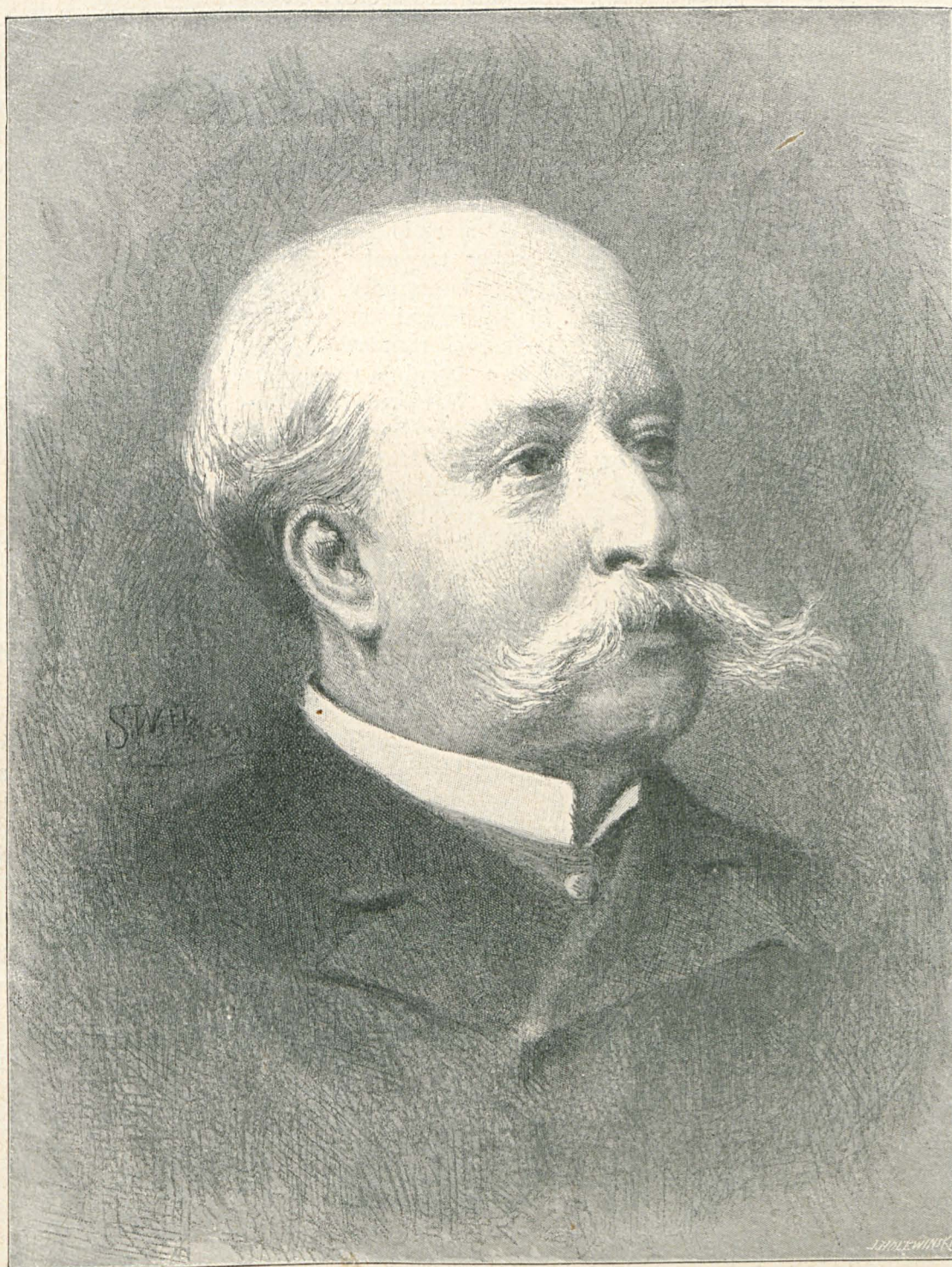


TYGODNIK ILLUSTROWANY



Rys. St. Witkiewicz

Ryt. J. Holewiński

Julian Trojański

Witkiewicz o Kossaku *)

Raz przyszedł do mnie pewien bardzo mądry góral i pyta: „Panie, powiedzcie mi, jako ja się mam utrzymować, cobym był ciekawie cywilizowanym, a przecie chłopem polskim ostał?”

„W pytaniu tem leży istota kwestyi bytu narodów. Być cywilizowanym, to jest żyć na równi z resztą ludzkości, a nie zatrzeć, nie zatracić swojej własnej odrębności plemiennej, to znaczy dla narodów—żyć. W ludzkości nurtują stale dwa prądy: powszechnej, wszechludzkiej cywilizacji i dążenia do odrębności jednostek plemiennych.

„Z pod fali ogólnoludzkiej wyłania się pierwotna indywidualność rasy, gromadzi się jej własny dorobek cywilizacyjny i stopniowo utrzuca się typ człowieka, który, żyjąc i tonąc w morzu ludzkości, współczując wszystkiemu, co ludzkie, zachowuje jednak swój własny, odrębny i niezależny charakter, własną szczególną treść ducha i właściwą sobie formę życia.”

W ten sposób zaczyna Stanisław Witkiewicz swoją książkę o Juliuszu Kossaku, z której, na życzenie redakcji „Tygodnika”, mam mieć zaszczyt zdać sprawozdanie. Istotnie zaszczyt to jest prawdziwy, gdy się między dwa te nazwiska wsuwa swoje, choćby w roli tak piętoplanowej, jaką jest rola sprawozdawcy rzeczy, która powinna być sądzona przez trzecie równe nazwisko.

I przez trzecią taką duszę, bo tu zeszyły się razem dwie dusze takie lotne i pełne, takie szczere i bujne, że to aż poprostu podziw budzi. I co ich najbardziej obu cieszy? Oto, że to był taki lud, o którym jeszcze Arab, opisujący wojsko Mieszka I, mówi: „A są to wojownicy, których setka równa się dziesięciu stom wojowników innych.” A potem przychodzi Obertyn, Lwów, Chocim, Kirchholm, Zbaraż, Wiedeń, Sommosierra i dalej...

A to przecie pan Pasek powiada, że „po wszystkich czas mojej służby w jego (Czarnieckiego) dywizyi, nie uciekałem, tylko raz, a gonilem, mógłbym razy tysiącami rachować...” „Je vous reconnais pour la plus brave cavalerie”—mówi Napoleon, a generał Puzyrewski pisze o szarży pod Sommosierą: „Pokryła ona pułk największą chwałą... Największą siłą, jaka jest w świecie ludzkim, jest siła duszy, jest widmo wielkiej idei i wielkiej nadziei, która jaśnieje nad sztandarami, jest ten duch żołnierza, który go zawsze unosi naprzód... Szarża niewątpliwie należy do najśmielszych, jakie kiedykolwiek historia jazdy nam przekazała...”

Potem z tego narodu, który niegdyś wydawał Bolesławów, Zawiszę Czarnego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, z tego narodu urodzą się Mickiewicz i Słowacki, Krasiński i Chopin, Grottger i Matejko, Kos-

sak i Sienkiewicz, Brandt i Ujejski, potem urodzą się bajeczni bohaterowie: Konrad i Konrad Wallenrod, Beniowski i Her Armeńczyk, przedzierzgnięty w straszliwej, niepojętej grozy i wspaniałości widmo Królującego Ducha; Irydyon; urodzą się żelazni rycerze bajecznych, niezrównanych epopei nowszych czasów: powstanie Wołodyjowski, Skrzetuski, Podbięta, Kmicie, Chmielnicki, powstaną olbrzymie płótna Matejki, genialne obrazy Kossaka i Brandta, Grottger i Chopin...

Poeta francuski, wielki liryk, Alfred de Musset, mówi: „Les plus désespérés sont des chants plus beaux—Et j'en connais des immortels qui sont des purs sanglots.”

Takie bywają dusze lotne i śmigłe, a takie zawiesiste i bujne, jak burzany ukraińskie... U nas się takie rodziły i rodzą. Coś w nich z Mohorta, coś z tego Paska, co się „tego trzepaczki Czarnieckiego,” pod którym tylko raz uciekał, a mało tysięcy gonił, „przez wszystkie wojny trzymał.” Tym to szumi step, ej, tym to huczą góry, a rzeka gra, i albo sami są bohaterami, albo się im bohaterowie śnią i rycerskie rzemiosło... Więc przyjdzie taki Kossak i namaluje Cherubima Gniewosza, co na kopii Wołoszyna w powietrze z siodła na dwóch chłopów wysoko pod Suczawą dźwignął; przyjdzie taki Sienkiewicz i każe kości tatarskie i niemieckie gruchotać, jak lwu bawolą kość; przyjdzie taki Witkiewicz i porobi z Maćków i Szymków, co w Hrubym Wirchu za kozami latali, albo w Wołowcu do niedźwiedzia kulę bili, legendarnych orłowych towarzyszków. Albo sami byli chłopcy na schwał, albo się im chłopcy na schwał śnią... Nie wszyscy są tacy, ale są. „Poniewtóry to je taki, że go i piec nie ogrzeje, ale som jest i tacy, co im nie trza klinów do kierpecy suć: hipnie!”

Tak się oni „uciesyli sobom obidwa;” Kossak Witkiewicza cieszył za życia, Witkiewicz Kossaka ucieszył po śmierci. Zeszyły się te dwie dusze, zawiesiste, stepowe, i zrozumiały się „do cudu.”

Szeroki, wichrowy dech przewiał piersi Kossaka—ale Żeromski, ten wielki, najgłębiej, najboleśniej tragiczny u nas pisarz, opisał gdzieś tam konia, który ze złamaną zadnią nogą pozostaje w polu sam, podnosi się na przódzie i za odchodzącym ze skórą z jego towarzysza przybłądą chłopem rży. Kraczą nad nim kruki i wrony. Za nim leży trup, trup przy wozie. Nad nim także kruki i wrony.

Szeroki, wichrowy dech przewiał piersi Kossaka, ale takiego konia, w tem pojęciu, nie namalował on nigdy. To jest natura spokojna, pogodna, optymistyczna. „Abyśmy tylko byli zdrowi!”—mawiał w chwilach niepowodzenia, a kiedy do niego ksiądz z Panem Jezusem przyszedł, wesa musnął, jak do gościa...

„Najświętszej Pannie ja na tamtym świecie Pięknie się skłonię, a tak myślę przecie, że mi pozwolą przy niebieskim stole Nosić sobole...”

Wincenty Pol a Juliusz Kossak—to podobne duchy. Podobni i artyści, tylko Pol bywał dramatyczniejszy, a za to Kossak nigdy się nie zmanierował i nie zepsuł.

Witkiewicz, który malarską sztukę Kossaka stawia niezmiernie wysoko, jako najznamienniejszy jej przymiot wymienia tę bezpośredniość, z jaką życie odtwarzało się w duszy artysty i z jaką on następnie odtwarzał je za pomocą farb i pędzla.

Kossak zatracca robotę, technikę, linie, plamy—pisze Witkiewicz;—z jakimś lękiem przed spłoszeniem życia notuje je nikłymi środkami technicznymi, lecz tak cudownie przystowanymi do zjawiska, że dają one zupełne wrażenie natury—życia...

Każda technika, którą widać, jest lichą techniką... Od prostej kreski do najbardziej skomplikowanego układu barw, wszystko jest dobre, jeżeli prowadzi do tego wyniku, o który w sztuce idzie: do wypowiedzenia siebie i wywołania pokrewnego wrażenia w widzu...

Sztuka Kossaka łączyła się ściśle z życiem: on ciągle myślał obrazami i szkicami, które bez przerwy sypały mu się z pod ręki. On śmiał się wesołą karykaturą, wyrażał swą dzielność porywem konia stającego dęba, swoją żywłość—pomknięciem smyczy chartów, swoją dobroduszość, malując przyjaciół i towarzyszków... W sztuce tej, od początku do końca, nie było rzemiosła, nie było martwej nauki, nie było rutyny—był to ciągły, szczerzy wylew życia, najszczerzy wyraz młodej, kipiącej życiem duszy...

Kossak ma bajeczną szybkość spostrzegania, ścisłość formułowania wrażeń i niesłychaną pamięć malarską... Dzięki tej pamięci, dzięki zupełnemu obiektywizmowi obserwacji i zupełnemu brakowi maniery w linii, lub barwie, Kossak był w bezpośrednim, niezamąconym stosunku z naturą...

Witkiewicz pod względem bezpośredniości odczucia i odtworzenia natury, życia, stawia Juliusza Kossaka między najpierwszymi, stawia go wyżej od Horacego Verneta, obok wszechświatowej sławy słynnego Meissoniera. Stawia go tak, jako malarza artystę, bez względu na to, kto go rodził i z czego wyrósł, z jakiej roli, z jakiej soli i z jakiego bólu. Ale oprócz tego, że był wielkim malarzem artystą, Kossak był jednym z tych, w którego dziełach najwszechstronniej, najbezwzględniej, najbezpośredniej—podług Witkiewicza, odbija się charakter i duch plemieniny, rasowe właściwości i kultura długowieczna, i świat zewnętrzny, w którym naród żył i działał...

Na całym tym obszarze ziemi, na którym rozegrał się dramat dziejowy polskiego narodu, na którym pozostało życie polskie, lub jego wspomnienie, wszędzie się tam spotyka z twórczością Kossaka—mówi dalej.

Był on malarzem wsi polskiej, tej wsi, gdzie na miedzy „ciche grusze siedzą,” i z której wyszło to wszystko, co było cnotą

*) Juliusz Kossak przez Stanisława Witkiewicza, wydanie wytworne, zawierające 276 reprodukcji obrazów i szkiców Kossaka, w formacie większej 4-ki, Warszawa, 1900.



Popiersie Juliusza Kossaka, roboty T. Rygiera w Rzymie, przeznaczone dla gmachu Tow. Sztuk Pięk. w Krakowie.

i zbrodnią, co było wielkiem i małym, co było chwałą i hańbą, co żyło w sposób szczególny, różny od reszty świata w treści i formie, to, co stanowi rdzeń i istotę polskiego życia.

Od traw i kwiatów łąkowych, od badyli burzanów do dębów zgruchotanych gromami; od szarego wróbla, grzebiącego na podwórzu Wojtkowej chałupy, do potężnych żubrów, beczących w ciemnych ostępach puszczy; od wydm piaszczystych i grzęzkiach topielisk do szczytów skalnych; od biednych chłopskich szkapek do bohaterskich koni bojowych; od opłotków cichego zaścianka do huraganów bitew,—gdzie tylko się objawiło życie polskie, wszędzie siedł za nim talent Kossaka, skupiał jego promienie i odtwarzał w swoich dziełach z niesłychaną prawdą i siłą.

Całkowity zbiór jego prac robi wrażenie, jak gdyby się nagle otwarło jakieś okno, z którego zawiąło powietrze przepojone zapachem łąk skoszonych, wód świeżych, żywicą sośni-ny, jesiennym wiatrem i dymem prochowym, okno, z którego widać daleko w przeszłość, gdzieś na pobojowiska Płowiec i Grunwaldu, a jednocześnie widać chwilę, która trwa i łączy się z tem, co tętni życiem dokoła...

A był on tak dalece malarzem życia, że do czego się dotknął, wszystko zaczynało się skrzyć, mienić i ruszać, jak drgająca woda górskiego potoku...

Kossak przedstawia taką mnogość zjawisk, taką ich różnorodność i taką wielostronność charakteru, iż zdumiewać się trzeba, że to wszystko, co zrobił, wyszło z pod jednej ręki, że te same oczy mogły widzieć tak krańcowo różne zjawiska.

Wartość dzieła sztuki jest wieloraką; bezwzględna mierzy się tylko cechami arty-

stycznymi. Ale dzieło sztuki jest wyrazem ludzkiej duszy, czasem tylko duszy tego człowieka, który je stworzył, czasem zaś żyje w nim zbiorowa dusza pewnego narodu.

Kossak, obok bezwzględnej wartości, jaką sztuce nadaje wielki talent i silna indywidualność, ma dla nas szczególną wartość, jako malarz najwybitniejszych cech naszej duszy i naszej ziemi.

Przyniósł on na świat te wszystkie właściwości psychiczne, które... postawiły go odrazu w harmonii ze światem, przez niego odtwarzanym. Nie otoczenie go urabiało, on szedł poprostu za swemi skłonnościami, jak woda za pochyłością gruntu, i dziwnem szczęściem trafiał na świat, na ludzi, stosunki, obyczaje, na formy życia i zjawiska przyrody, które w sposób cudowny łączyły się z jego duszą i naturą jego talentu.

Rzadko można widzieć twórczość artysty tak jednolitą, tak bezpośrednio wynikającą z jego duszy, będącej w najbezpośredniejszym zetknięciu z tem, co stanowiło materiał twórczy talentu, co stanowiło zgłoski i słowa, któremi ta dusza miała się wypowiedzieć.

Łączność między wypadkami życia artysty a jego całkowitem dziełem nie zawsze jest wyraźna. Nieraz—(zdanie to warto, aby sobie zapamiętała szeroka publiczność!) — nieraz niemożna znaleźć żadnej prawie analogii między tem, jak się artysta wypowiada w swojej sztuce, a tem, jak się ten sam człowiek innym ludziom przedstawia.

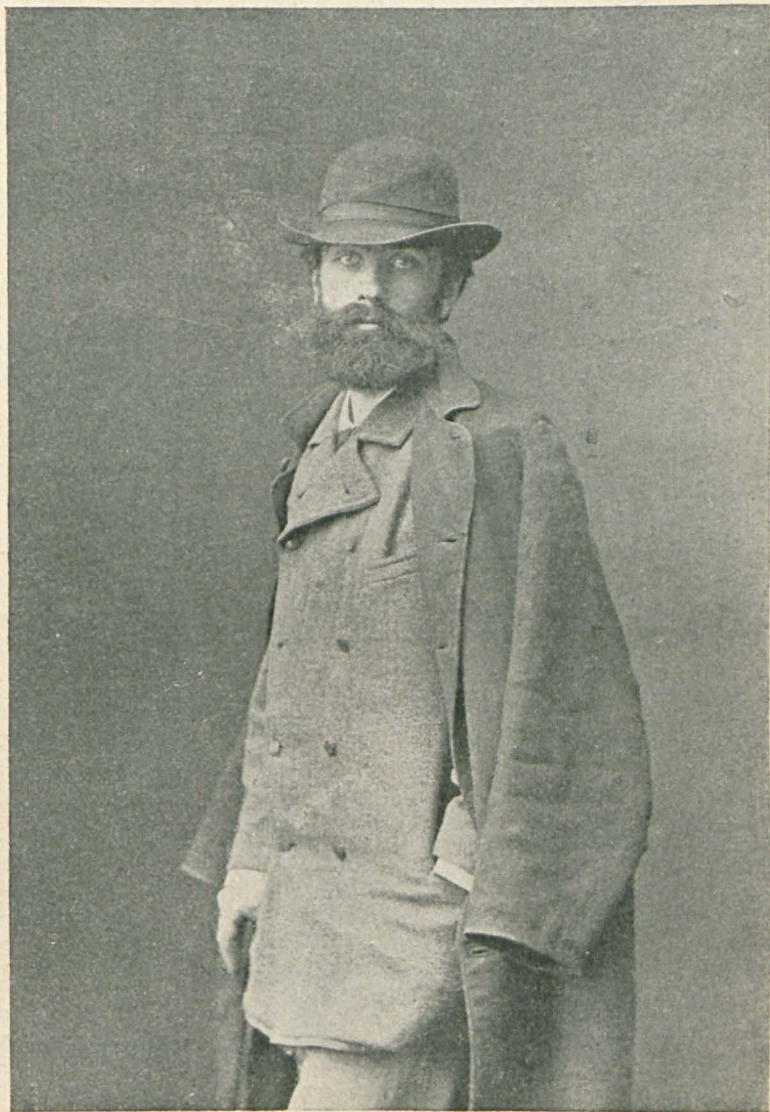
Często—często artysta prowadzi jakby dwa żywoty: ten zwykły, codzienny, który zdaje się być tylko spełnianiem funkcji, warunkujących jego życie, i ten drugi, w którym przebywa i tworzy jego dusza. I jak z jednej strony można nieraz widzieć człowieka, który „jedząc ze łzami chleb powszedni,” szarpiąc się i dręcząc, walcząc przeciw nędzy i ludziom, wystawia pogodne obrazy, tak również naodwrot, człowiek prowadzący życie zwykłe, zgodne na pozór z pospolicymi wymaganiami ludzi średnich, jako artysta objawia się w sposób dziwaczny, przedstawia czyny bohaterskie, lub męki duszy i szarpania się myśli, które zdają się być obce jego dniom powszednim... Wogóle życie jest daleko dziw-

niejsze, bardziej tajemnicze, bardziej niezrozumiałe, niekonsekwentne, sprzeczne, okropne, lub cudne, niż to może objąć umysł ludzki, skłonny zawsze do szukania zbytecznej logiki wypadków i budowania schematycznych teorii.

Muszą jednak być i są bezpośrednie związki—mówi Witkiewicz—między życiem, między duszą artysty, a jego dziełem. Co do Kossaka, to prawie tak, jak u nikogo, życie jego przeszło w zupełnej zgodzie z tem, co mówią jego obrazy. To, co miał przedstawić w swoich dziełach, z tem żył, nie dlatego jedynie, żeby studyować dla celów artystycznych, tylko dlatego, że sfera jego obrazów była poprostu najwłaściwszą, najbliższą, najodpowiedniejszą na świecie sferą dla jego natury osobistej.

Odnalazłszy w otaczającym go życiu najdoskonalszy materiał twórczy dla swego talentu, Kossak obracał się jak w domu w wielkim zakresie czasu i wypadków. W formie życia bieżącego odkrył formę dla wyrażenia przeszłości. Raz dojrzaawszy zasadniczą łączność temperamentu i typu między szlachtą, szczującą wilki i dropie na stepach Ukrainy, a dawnym rycerstwem, poszedł z tymi szlachcicami i dojeżdżaczami na stare pola bitew, nakładał im w imaginacji pancerze i hełmy i siedł z nimi, jak wicher, na tureckie obozy, kosze tatarskie i kobylice szwedzkiej piechoty.

Taki malarz zjawił się wtedy, kiedy—przed rokiem 1850—w sztuce polskiej „było po prostu nie!”—jak pisze przyjaciel Kossaka, p. Marcin Olszyński.



Stanisław Witkiewicz
Według ostatniej fotografii

„W tej nicości—powiada Witkiewicz—talent Kossaka zjawia się jak meteor, a świeci przez lat pięćdziesiąt, jak słońce.“

W takiej „nicości“ drudzy błysnęli u nas chyba Chopin i Moniuszko. Mickiewicz przyszedł, jak słońce z przeciwnego bieguna, ale w wir światłek niebieskich, którym się zdawało, że są plejadą słońc; zapalił lunę, którą zgasił to, co przed nim błyszczało. Kiedy przyszli Słowacki i Krasiński, był już on. Kiedy przyszedł Sienkiewicz, literatura miała już swój olbrzymi romantyzm, a powieść miała Rzewuskich, Kraszewskich, Korzeniowskich, Kaczkowskich. Ale w malarstwie polskim przed r. 1850 było rzeczywiście „prostu nic.“ W przeciągu więc pół wieku wyrasta z niej Grottger, Matejko, Chelmoński, Maks Gierzyński, Brandt, Kossak, Malczewski, ludzie mogący rywalizować z pierwszymi Zachodu, Matejko, obok Böcklina, może najpotężniejsza indywidualność malarska XIX wieku.

Jakiś specjalny, rodzimy talent malarzski, raczej jakieś poczucie malowniczości, tkwiło w nas od dawna. Mówi o tem Wit-

kiewicz: „Gdzieindziej, niezależnie od potężnego ruchu artystycznego, a raczej w związku z nim, uzbrojenie i ubranie wojowników było polem twórczości dla umysłów artystycznych. U nas, gdzie samodzielne życie artystyczne było mniej silne, stworzono takiej nieporównanej malowniczości żywe posagi, jak husaria, pancerni, lisowczycy i późniejsi ułani. Są to oryginalne i, jak husaria, niemające sobie nigdzie podobnych i równych, pomysły artystyczne.“

Naturalnie—(uwaga na boku)—jeżeli się zważy intuicję tych „artystów“, którzy komponowali tak oryginalny i zdumiewający, niczem niepodobny mundur husarski, z intuicją ogólną malarstwa polskiego, z jego zdolnością stwarzania rzeczy nowych: ci pierwsi będą mieli ogromną górę. Brak oryginalności myśli, pomysłów jest naszym dawnym grzechem, o którym już starzy pisarze mówią, że Polak potrafi często lepiej zrobić, ale to, czego się od cudzoziemców nauczył. Na wytłomaczenie i jakoby usprawiedliwienie może służyć, że długie były wieki tradycji wo-

jennej, nim przypięto husarzom do zbroi skrzydła, nie było zaś żadnej tradycji artystycznej, która jest rzeczą tak ważną, z której wyrastali Rafael, Michał Anioł i Leonardo da Vinci, ci dwaj ostatni tak nieporównani i olbrzymi nowatorowie w sztuce.

Z niezmiernem umiłowaniem przedmiotu, a z równie wielką wszechstronnością ogarnia Witkiewicz swój przedmiot. Píše to nietylko malarz, nietylko literat, a jest nim jednym z pierwszych, lecz i człowiek wysokiej kultury i gorącego serca. Pod względem szerokości umysłu, pod względem oświecenia duszy, stoi Witkiewicz o wiele ponad swoim bohaterem, i sądzę, że nietylko to, że Kossak urodził się w r. 1824, a on sam o kilkadziesiąt lat później, jest tego sprawą i przyczyną. Kossak, po roku czterdziestym szóstym w Galicyi, po latach wogóle w całej Europie pełnych krwi, zamętu, kurzawy, klęsk i przewrotów, maluje „pijace gardła, wasy, psy, kontusze“, maluje polską wieś, jakby się nigdzie nic nie stało. „Abyśmy tylko byli zdrowi...“ DCN KAZIMIERZ JETMAJER.

Z Krakowa.

25 października.

Otwarcie uniwersytetu. — Rocznicą Konarskiego. — Teatr. — Pomnik Fredry. — Grób Zasłużonych na Skałce.

Uniwersytet Jagielloński, jako instytucja naukowa, ogniskująca cały ruch nasz umysłowy, daje zwykle hasło do żywszego pulsowania wszystkich objawów intelektualnego życia Krakowa. Jesienne otwarcie progów Almae Matris jest zwrotnym

punktem, który oddziela martwy sezon od żywego, sprowadza w mury miejskie te żywioły, które nadają charakter życiu i stosunkom naszej duchowej metropolii.

Tegoroczna uroczystość uniwersytecka skupiła w sobie o-

statnie echa podniosłego obchodu jubileuszowego i była tym pogłosem, który zamknął okres pierwszego pół tysiąca lat wszechnicy, a stał się początkiem drugiego. Wybrany na rok bieżący rektorem czcigodny d-r Maciej Leon Jakubowski, profesor pediatrii i dyrektor szpitala dla dzieci, odebrał imieniem uniwersytetu życzenie na dalszy rozkwit dziejowy Jagiellońskiej szkoły. Podniosła i niezapomniana będzie dla uczestników tegorocznej inauguracji chwila, w której ustępujący rektor Stanisław Tarnowski w pięknym przemówieniu streszczał historyczność dzieje ubiegłych wieków, a zakończywszy rzecz świetnym obrazem tegorocznej uroczystości jubileuszowej, życzył następcy swemu, aby jak przed laty 500 portret pierwszego rektora, Stanisława ze Skarbimierza, tak po upływie drugiego

półtysiąca lat potomność portret d-ra Jakubowskiego, jako rozpoczynającego drugie pięćsetlecie w gmachu szkolnym wmurowała, pamiętna, że „to ten, co tysiącom i tysiącom rodziców uratował dzieci i przemienił płacz w wesele, ten, co piśmem i praktyką podniósł umiejętność ich leczenia, ten, co stworzył dla dzieci szpital w Krakowie i zakład w Rabce, a znakomity nauką, budował, pociągał i przywiązywał szlachetnym sercem i miłosierdziem.“

I pochyliły się przed nowym starej szkoły dostojnikami berła uniwersyteckiego, a w ręce jego złożono, jako „sceptum regiminis“, berło ofiarowane darem podczas jubileuszu przez miasto Wilno, pierścień rektorski brylantowy, ofiarowany przez obywatelstwo z Poznańskiego, oraz łańcuch złoty, ofiarowany przez byłych uczniów uniwersytetu w Jurjewie.

Nowy rektor d-r Jakubowski w pełnym serdecznego ciepła przemówieniu dziękował poprzednikowi za niezmordowany trud, rozwinięty w urządzeniu jubileuszowego obchodu, i podniósł, że niezapomniane a krzepiące wrażenia tegorocznego święta wykazały, że społeczeństwo najpewniejszy i najpotężniejszy czynnik żywotny widzi w naukowej i cywilizacyjnej pracy, reprezentowanej przez uniwersytet.

Ze szczegółowego liczbowego sprawozdania rektora Tarnowskiego za rok ubiegły, dowiedzieliśmy się, że w roku szkolnym 1889/1900 liczył uniwersytet 1331 studentów. Z kroniki ważniejszych zdarzeń, obok 500-letniego jubileuszu wszechnicy, przypomniawszy sprawozdanie 25-letni jubileusz profesorskiej działalności rektora Korczyńskiego i 50-tą rocznicę doktoratu Juliana Dunajewskiego, oraz odsłonięcie pomnika Kopernika. Zmarłym w ciągu roku szkolnego profesorom: ś.p. Józefowi Kleczyńskiemu i Aleksandrowi Zarewiczowi, docentowi Franciszkowi Sroczyńskiemu i kustoszowi Biblioteki Jagiellońskiej Władysławowi Wisłockiemu, poświęcił rektor słowa gorącego wspomnienia. Uroczystość zakończył odczyt d-ra Jakubowskiego „O nauce pediatrii w stosunku do innych gałęzi wiedzy lekarskiej.“

Na rok bieżący zapisało się ogółem 1233 studentów. W tej liczbie mieści się 15 studentek zwyczajnych i 29 nadzwyczajnych. Na wydział medycyny zapisało się studentek 8.

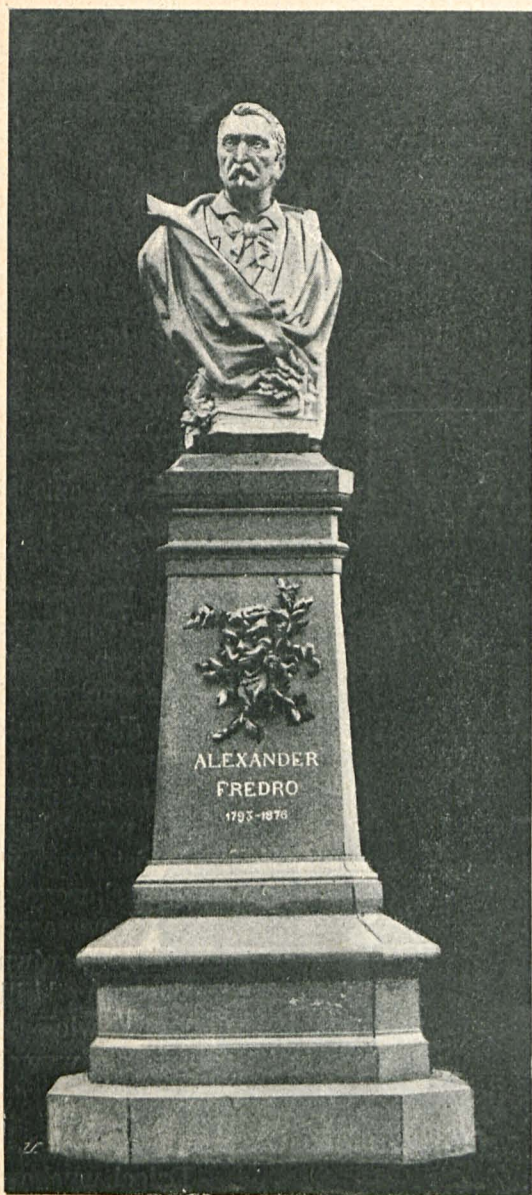
* * *

Dwóchsetną rocznicę urodzin Konarskiego uczcił Kraków, za inicjatywą tutejszego zgromadzenia ks.ks. Pijarów, podniosłym obchodem pamiątkowym. Odbędzie się ta uroczystość w pięknie przystrojonej sali „Sokoła“, gdzie poseł August Sokołowski w barwnym odczycie rozwinął dzieje życia i działalności zasłużonego reformatora szkolnictwa. Muzyka i deklamacja, a wreszcie apoteoza wizerunku Konarskiego, dopełniły programu obchodu, w którym uczestniczyły liczne zastępy młodzieży i przedstawiciele inteligencji. Drugiego dnia odbyło się w pijarskim kościele uroczyste nabożeństwo pamiątkowe przy udziale cechów ze sztandarami, duchowieństwa i nauczycieli. Pijar krakowski ks. St. Biegański wydał na uczenie rocznicy broszurę p. t.: „Poczet autorów, którzy



Pomnik Aleksandra Fredry na tle Teatru miejskiego w Krakowie.

o Konarskim pisali.“ Jest to pracownice zestawiona bibliografia prac i monografii, ściągających się do osoby dzielnego Pijara.



Pomnik Aleksandra Fredry w Krakowie.

Teatr krakowski, po ciężkim przesileniu, w jakie go pogrążył ubytek kilku pierwszorzędnych sił, pozyskanych przez p. Pawlikowskiego dla teatru lwowskiego, poczyną zwolna odzyskiwać rozpęd repertuarowy. W miejsce pp. Solskiego, Romana, Węgrzynów i Bednarzewskiej, zwiększyli personel aktorski pp. Zawadzki, Sosnowski, Zelwerowicz i Pawłowski; oraz panie: Ordówna i Łazarewicz. Nadto w p. Adolfie Walewskim, długoletnim reżyserze sceny lwowskiej, pozyskał teatr krakowski nietylko rutynowanego artystę, lecz i doskonałą siłę reżyserską, prawie niezbędną dla teatru, który musi obowiązkowo co tydzień przygotować premierę. Jakkolwiek te nowo zaangażowane siły nie zdołały w zupełności zastąpić dawnych, zwłaszcza w obsadzie sztuk

t. zw. „podstawowego“ repertuaru, podnieść tu należy, że pełniący obowiązki reżysera p. Kamiński nie szczędzi usiłowań, aby stworzyć harmonijny zespół artystyczny, a choć zdarzają się często jeszcze omyłki w wyborze i obsadzie sztuk, całość jednak poczyną się zaokrąglać i wyrabiać, a publiczność, otaczająca żywą sympatią dyrektora Kotarbińskiego, popiera chętnie jego usiłowania i nie skąpi poparcia teatrowi.

Sezon, rozpoczęty oryginalną sztuką L. Sowińskiego „Na Ukrainie“, byłby popłynął szczęśliwie naprzód, gdyby nie zakaz władz politycznych, wstrzymujący wystawienie przygotowanej z wielkim nakładem pracy i kosztów „Cyrce“ Rossowskiego. Przypadkowy ten wyłom w repertuarze spowodował zmianę w dotychczasowym planie i przyprawił dyrekcję o straty materialne i moralne. W tym czasie bowiem przesunęło się przez scenę kilka sztuk drugorzędnych, jak „Dama dworu“ Thilo von Throtha, „Mąż pod kluczem“, „Ubo-dzy duchem“ Potiechina, „Posłanka“ de Case'a, a wreszcie oryginalna, ale wielce niefortunna w pomysle i w wykonaniu sztuka Mirowskiego „Zamęt“, którą zaraz po pierwszym wystawieniu usunęto alisza.

Dopiero wprowadzenie na repertuar „Heddy Gabler“ z p. Siemaszkową w roli tytułowej i „Ochłani“ p. Konczyńskiego wionęło znowu na scenę naszą pogodniejszym tchnieniem, zaznaczając zwrot ku lepszemu. Obie sztuki, wystawione bardzo starannie i przygotowane z wielkim nakładem pracy, zdobyły powodzenie. W pierwszej bohaterką była p. Siemaszkowa, dźwigająca obecnie na swych barkach najbardziej odpowiedzialny wydział sił dramatycznych i salonowych, w drugiej p. Kamiński, ulubieniec publiczności, umiejący wykwintną grą swą podtrzymać rolę, nie leżącą nawet w zakresie jego talentu, zamykającego się w ramach silnej drobniawej charakterystyki.

Gdy obok tych dwojga artystów wymienię jeszcze nazwiska pp. Zawadzkiego, Sobiesława i Mielewskiego; pań: Wojowskiej, Wolskiej i Morskiej-Popławskiej to zespół, wspierający się na tych artystach i artystkach okaże się przy skutecznym współdziałaniu sił młodszych, wystarczającym do podolania zadaniom repertuarowym sceny krakowskiej.

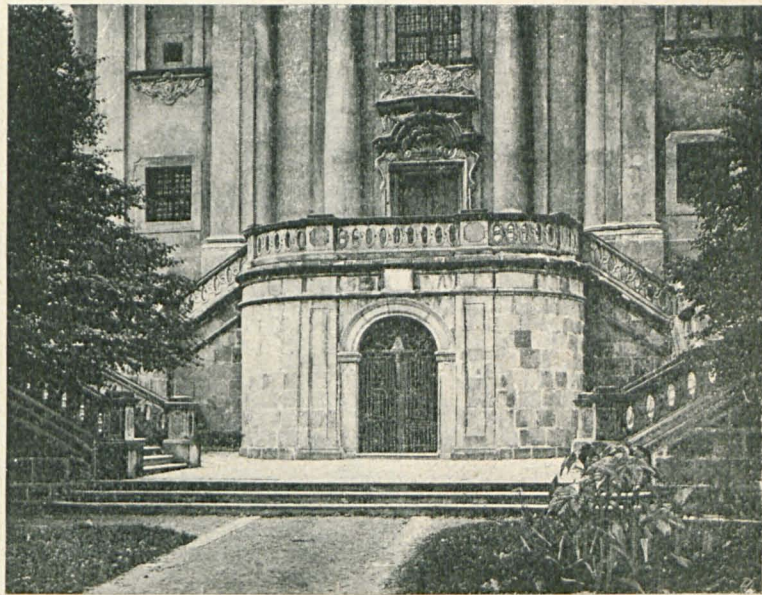
* * *

Prawdziwą, trwałą artystyczną wartość ozdoby

zyskał Kraków w nowym pomniku Fredry, odsłoniętym przed kilku dniami na skwerze przed teatrem miejskim. Prywatnej otiarności i inicjatywie p. Konstantego Wołodkowicza zawdzięcza miasto i teatr ten pomnik twórcy „Ślubów pa-nieńskich“, mimo skromnych rozmiarów, dziwnie harmonijnie licujący ze spokojnem otoczeniem placu teatralnego i plantacji. Znakomitego artysty Cypryana Godebskiego dłuto oddało z zadziwiającą wiernością pełne pogody ducha rysy ojca komedy polskiej. Przepyszenie modelowana głowa ma siłę charakterystyki i właściwy wyraz, a szlachetny rysunek linii figury, wyborne udrapowanie płaszcza, zwieszającego się z ramion, dają poznać dzieło pierwszorzędnego artysty. Pomnik mierzy w całości 5 metrów wysokości i wznosi się na granitowej podstawie, którą zaprojektował architekt Józef Pokutyński. Na podstawie umieszczono maskę brązową, charakteryzującą komedję, spoczywającą na gałązce lauru. Pod nią widzi-my napis: „Aleksander Fredro 1793—1886.“

Rada miasta Krakowa, poczuwając się do ciężącego na niej obowiązku, przystąpiła do odnowienia grobu Zasłużonych na Skałce, kryjącego, jak wiadomo, zwłoki sześciu znakomitych mężów: Długosza, Kraszewskiego, Pola, Siemińskiego, Lenartowicza i Asnyka. Przy tej sposobności trzej ostatni otrzymają piękne sarkofagi, według jednolitego sporządzone wzoru. Ten znak pamięci i to skromne uczczenie grobów stanie się za sprawą przeora O.O. Paulinów na Skałce, ks. Federowicza, niegdyś przed laty inicjatora myśli założenia grobu Zasłużonych w skalistej krypcie kościoła, wślawionego męczeństwem św. Stanisława. Roboty około odnowienia są w pełnym toku.

WŁ. PROKESCH.



Krypta zasłużonych przy kościele Ś-go Stanisława na Skałce.

Czego powinniśmy żądać od wychowania domowego.

A Dzienniku poznańskim, jak i w innych pismach wielkopolskich, czytamy w każdym numerze przypomnienie: „Uczmy dzieci po polsku!“ Memento takie zdawałoby się mogło być zbytecznym, wszystkim bowiem ta potrzeba jest znana, a jednak to powtarzanie codzienne, nieustanne tych słów kilku ma duże znaczenie, umacniające poczucie jednego z najbliższych i najdroższych obowiązków. Jest

to działanie kropli wody, która powolnie a stale padając — żłobi w opoce trwałe ślady.

Na tej samej zasadzie polega zadanie literatury pedagogicznej w pismach bieżących. Jej celem jest nietyle wskazywanie nowych dróg, ile cierpliwe, nieznużone przypominanie tych samych praw i obowiązków, podkreślania czerwonym ołówkiem rzeczy najważniejszych, choćby po raz setny i tysięczny, w na-

dziei, że nie wszystkie ziarna padną na opokę i między ciernie.

Do spopularyzowania zasad racjonalnego wychowania dążyć potrzeba bezustannie i wszystkimi możliwymi środkami, bo warunkiem każdej reformy, odbywającej się drogą powolnej ewolucji, jest przejęcie się społeczeństwa pewnym ideałem tak silnie, aby wszedł w zakres pojęć elementarnych i podstawowych. Pisanie samo tej pracy dokonać

nie zdoła, ale obok praktycznego działania przykładu i żywego słowa, ma ono pewne znaczenie, którego wprawdzie przeceniać nie należy, lecz i pomijać nie wolno.

W tem przekonaniu pragnę zwrócić uwagę na kilka punktów zasadniczych co do wychowania domowego panien. Jest ono u nas bardzo rozpowszechnione, stanowi zatem przedmiot gorących dysput, rozmów rodzinnych, roztrząsań, porównań z innymi systematami, z wychowaniem szkolnem, pensyonarskiem i klasztorzem. Trudno też wyobrazić sobie większą różnorodność poglądów, planów, praktyk, programów od tej, jaka się mieści pod wspólną nazwą edukacji domowej, której najpospolitszą wadą jest przypadkowość i brak jednolitego, logicznego systemu.

Ten brak, uczuwany przez wielu rodziców, wywołał pewien ruch w kierunku ściślejszego stosowania w edukacji domowej programu jakiegoś zakładu naukowego. Jest to, przy umiejętnem wykonaniu, znaczny krok postępu w walce z dorywczością i nieładem, ale nie obejmuje wszystkich zadań wychowawczych, nie stanowi zasadniczej reformy.

Wychowanie domowe ma znaczenie przygotowawcze w dwóch kierunkach: po pierwsze dać powinno przygotowanie moralne i praktyczne do życia, powtóre: podstawę do dalszego kształcenia specjalnego, czy ogólnego.

Możnaby streścić w następujących słowach wymagania, jakie teoretycznie stawia większość rodziców, myśląc o dobrem wychowaniu: „Chcemy wychować dziewczynę zdrową i naturę zdrową, chcemy, aby obok charakteru, czyli świadomości wykształconej woli, i obok poczucia obowiązków, miała serce do kochania zdolne. Pragniemy przytem rozwinąć wszystkie jej zasoby umysłowe, wszystkie zdolności przyrodzone przez wykształcenie staranne, któreby obudziło poczucie piękna, wyrobiło zmysł krytyczny, ułatwiając zarazem zrozumienie życia społecznego, w którym powinna wziąć kiedyś udział czynny, w tej mierze i w takim zakresie, na jaki jej pozwolą siły umysłowe i warunki życia.

Prócz tego mamy prawo żądać, żeby wychowanie dało kobiecie wiadomości pewne i umiejętność z zakresu zajęć praktycznych, aby nie wchodziła w życie, jak królowna, w sen długi zapadająca, po dotknięciu wrzeczona.“

Zdaje się, że pod takim dezyderatem podpisałoby się bez zastrzeżeń nazwisk wiele, ale byłoby w tej liczbie rodzice, co wielogodzinną, męczącą nauką pozwalają zakuwać

cudownych i półcudownych nie należy jeszcze do rzadkich wyjątków, ale daleko pospolitszym objawem jest męczenie przynębiające dzieci mało zdolnych przez naukę, wypełniającą dzień cały z krótkimi przerwami.

Różnica między starą a nową metodą przeuczania dzieci polega na tem przede wszystkim, że dawniej karmiono pamięć znacznym zasobem dat, faktów, reguł, obecnie zaś wpaja się w umysł wielką liczbę pojęć już gotowych, urobionych, których uczeń nabywa niby to drogą doświadczenia, ale z góry przewidzianego.

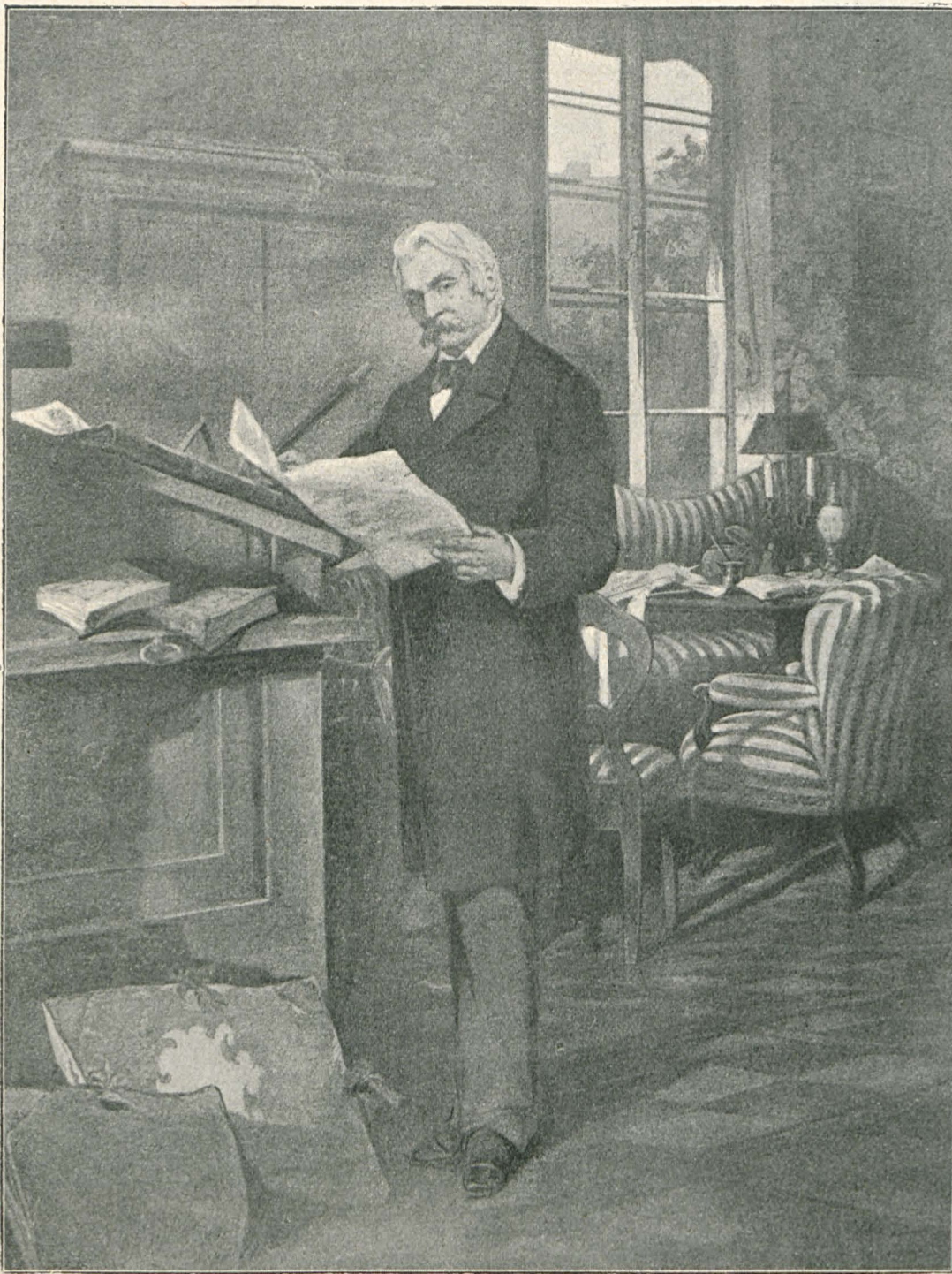
Ograniczenie liczby godzin, poświęconych właściwej nauce, byłoby prawdziwym dobrodziejstwem, prawdziwym pożytkiem dla wychowania, a nawet dla wykształcenia, choćby to twierdzenie mogło wydawać się paradoksem. Godzina istotnego wysiłku umysłowego, po dłuższym wypoczynku, jest nierównie więcej warta od kilku nawet pracowicie spędzonych, ale wywołujących fizyczne znużenie.

Dzieci, wychowywane w domu, na wsi, mogą mieć ze wszystkich najlepsze warunki higieniczne: dobre odżywianie, świeże powietrze, ruch i swobodę; tych więc korzyści istotnych, naturalnych poświęcać nie warto urojonym wymaganiom edukacji forsownej, męczącej organizm. „Szaleństwem jest—mówi Spencer—upieranie się przy systemie, który niszczy zdrowie młodej dziewczyny dla przyjemności obarczania jej pamięci.“

Nabywanie różnych wiadomości jest, wogóle biorąc, ogromnie przeceniane w sto-

sunku do innych celów wychowania: oprócz przeciążania talentami, zwłaszcza muzyką i nauką obcych języków, zauważyć trzeba i ten nacisk, jaki się kładzie na wyuczenie mnóstwa dat historycznych, nazw geograficznych i życiorysów. Na szczęście, później zapomina się znaczną część tego wszystkiego, a natomiast powstają jakieś kontury główne, które są już własnością istotną umysłu.

Ale nie zawsze tak bywa. Są organizacje, przechowujące w głowie na całe życie takie lamusy niepotrzebnych gratów, szczegółów i szczegółików, całe składy taniej erudy-



ALEKSANDER hr. FREDRO
jako literat.

Rys. JULIUSZ KOSSAK

młode główki, i tacy, którzy nigdy nie zastanawiali się nad kierunkiem wychowania, zdając się na przyjęty zwyczaj, lub przypadek.

Miedzy ideałem wychowania a postępowaniem w praktyce istnieje rozbrat zadziwiający. Nikt nie powie sobie jasno: „Chcę mieć córki blade, anemiczne,“ albo „układne lalki salonowe,“ choćby do tego dążył wszystkimi sposobami.

Mimo częstych i gorących nawoływań, względy zdrowia nie mają jeszcze w wychowaniu tego znaczenia pierwszorzędowego, jakie im się należy. Forsowne rozwijanie dzieci



DOBIESŁAW MIERZB
nazwany Friedher (Fredro) 1363.

Z CYKLU J. KOSSAKA
„FREDROWIE“

cyi. Ale bo też to praca najpiękniejszych dni wiosnianych, to owoc trudów wieloletnich starannej edukacji!

Nauki przyrodnicze, wchodząc w modę, mogą również stać się niezadługo taką samą „piłą“, jak przedmioty literackie, jeżeli nauczanie wogóle nie zmieni swego charakteru teoretycznego i erudycyjnego.

M. Guyau, jeden z najznakomitszych pedagogów francuskich, w ten sposób się o tem wyraża: „Jeżeli wykształcenie, na które się ludzie skarżą i którego się boją, daje złe wyniki, to dlatego, że nie jest ono tem, czem być powinno. Wychowanie, zamiast zniechęcać do życia rzeczywistego, powinno ludzi do niego przygotowywać. Mniej subtelności w ideach, mniej erudycji pamięciowej, mniej historii i teorii literackich, więcej zaś idei moralnych i estetycznych, więcej umiejętności ręcznych, więcej energii, woli, praktyczności i wynalazczości.

„Zadaniem wszelkiego wychowania, szczególnie zaś wychowania kobiet, jest udzielenie jak największego zasobu wiadomości niezbędnych i pięknych przy najmniejszym zużyciu sił mózgowych dziecka. Kobieta ma w rodzinie rolę, od której nigdy nie będzie mogła się wyłamać: musi ona dokonać wychowania moralnego i fizycznego dzieci. Do tego właśnie zadania wiśniemy ją przygotować jak należy. Pedagogia praktyczna z zawierającą się w niej higieną popularną jest nauką najpotrzebniejszą kobietom, a właśnie jedyna to prawie, której się im nie wyklada.“

Wykreśliwszy, w myśl tego założenia, wiele szczegółów z planu nauk niezbędnych, zyskamy dużo czasu, który będziemy mogli obrócić na rozmowy rozumne a serdeczne, a stanowią one jeden z najlepszych środków do kształcenia charakteru, inteligencji i zmysłu krytycznego.

Przedmiot takich rozmów stanowić mogą wszystkie kwestye, obchodzące nas w życiu; nie mamy racjonalnego powodu, aby utrzymywać młodą dziewczynę w atmosferze fałszywych o świecie wyobrażeń. A więc kwestye moralne, obowiązki obywatelskie, ideały społeczne, piękno w naturze i sztuce, arcydzieła literatury, sprawy bieżące, którymi się ogół interesuje, to wszystko, co życie stanowi, nie powinno jej być obce i obojętne.

Nadanie kierunku umysłowego, rozbudzenie różnych poczuć, rozwinięcie samodzielnego myślenia—są to takie zadania, których spełnić nie można za pomocą samego uczenia, bez współudziału odpowiedniej atmosfery duchowej, którą stworzyć trzeba w domu.

Jeżeli zaś nie można, to już lepiej poszukać innego sposobu wychowania. Bo edukacja domowa może być najlepszą ze wszystkich, jeżeli w życiu rodzinnem tkwią wszystkie pierwiastki podniosłego i rozumnego ducha, ale i najgorsza, jeżeli ogarnia młode umysły ordynarną, pospolitą, płaską atmosferę.

Zostawianie przypadkowi i okolicznościom najważniejszej części zadania, t. j. wychowania religijnego, etycznego i obywatel-

skiego, zaniedbywanie tych celów jest rażącym błędem, wobec gorliwości o meblowanie umysłu i kształcenie talentów.

Podporządkowanie nauki ważniejszym celom wychowania bynajmniej nie wyłącza wyższego kształcenia kobiet w miarę zdolności i ochoty; przeciwnie, daje do niego podstawę przez zaoszczędzenie sił w bardzo młodym wieku, przez ograniczenie erudycji podręczników szkolnych, która z późniejszą nauką na seryo niewiele ma wspólnego.

„Grau, mein Freund, ist alle Theorie, doch ewig grün des Lebens goldner Baum“—takie motto przyświecać powinno wszelkim dążeniom pedagogicznym do otrąśnięcia się z więzów rutyny i do wpojenia w ogół głębokiego przekonania, że wartości istotnej człowieka nie stanowi to, co on umie, lecz jakim jest. Więc i wychowanie domowe, jeżeli wejdzie na tory współubiegania się ze szkolnem o ilość i sposób udzielania różnych wiadomości, jeżeli w tym kierunku jedynie wyteży ambicje nauczycieli, siły dzieci i wymagania rodziców, to pominie najbliższe swe i najpilniejsze zadania, a w wyjątkowych tylko wypadkach zdoła osiągnąć upragniony stopień gruntowności w wykonaniu programu naukowego. Ma zaś ono najlepsze po temu warunki, aby rozwinąć działanie w daleko obszerniejszym zakresie, starając się o fizyczny rozwój wychowanców, o wykształcenie pojęć moralnych, obywatelskich i estetycznych—o rozbudzenie duszy; to jest przygotowaniem właściwem do życia.

Ewolucja powieści egzotycznej.

Dokończenie.

Lnaczej rzecz wygląda u Sieroszewskiego, który, chociaż ma do czynienia z rasą niewątpliwie niższą fizycznie i cywilizacyjnie od naszej, nie szczędzi jej jednak objawów współczucia i sympatii, tłumaczy jej zacofanie kulturalne wpływem smutnych warunków bytu, słowem: traktuje Jakutów, Czukczów, Tunguzów, jako młodszych braci, nie jako wyrzutków rodu ludzkiego.

Dla Kiplinga ideałem człowieczeństwa jest sprytny, energiczny, odważny i uczciwy — Anglik, który pozwala innym rasom istnieć, pod warunkiem, że uznają jego wyższość i poddadzą się jego władzy.

Ideałem Sieroszewskiego jest człowiek w najlepszym i najszerzym tego słowa znaczeniu. Rasy wyższe i niższe — to tylko przejściowe fazy ewolucyjne idealnego typu człowieka, którego urzeczywistnienie jest celem postępu cywilizacyjnego.

Kto wznosił się na wyższe szczeble drabiny rozwojowej, ten nie ma prawa pogardzać braćmi, stojącymi niżej, ale ma obowiązek pomagać im wszelkimi siłami do posunięcia się naprzód.

Nikt też, prócz Sieroszewskiego, nie przedstawił w sposób równie piękny, wzruszający i ciekawy przyjaźni Europejczyka z człowiekiem rasy obcej.

Stosunek Pawła do Jakuta, Ujbanczyka, pojęty jest głębiej, opracowany wielostronnie, niż klasyczny w literaturze europejskiej stosunek Robinsona do Piętaszka, który traktowany jest zawsze jako wielkie dziecko, nie jako człowiek równy w zasadzie swojemu białemu zbawcy.

A weźmy teraz „W matni,” gdzie Europejczyk, zmuszony przez los, prowadzi walkę z Jakutami o kawałek ziemi. Z jaką wyrozumiałością traktuje autor i jego bohater upór i przewrotność Jakutów, którzy nie chcą gruntu ustąpić cudzoziemcowi z obawy, że to może zachęcić innych do osiedlania się w okolicy! Aleksander zabiera kawałek nie-żytku, bo musi ratować siebie i córkę od śmierci głodowej, ale wyrzuca sobie ten postępek jako bezprawie względem krajowców.

Na taką delikatność uczuć nie zdobyłby się nigdy Anglik, który uważa siebie za pana globu ziemskiego, a ludy dzikie za naturalnych swoich poddanych.

W „Chajłachu” znowu Jakuci przedstawieni są jako sympatyczne a nieszczęsne ofiary zbrodniczych instynktów białego. Słowem, zawsze i wszędzie Sieroszewski występuje jako obrońca i przyjaciel obcego plemienia, które stykając się z cywilizacją, traci szczęście i spokój, a nie zyskuje prawie nic.

* * *

Światło tej szczerej, humanitarnej sympatii pozwoliło Sieroszewskiemu wnikać w tajniki duszy dzikiego, zamknięte dla zwyczajnego obserwatora, i stworzyć typy skończone, pełne i przewyższające pod względem plastycznym i psychologicznym ostre, ale jednostronne sylwety Kiplinga.

Postacie dzikich tracą pod piórem Sieroszewskiego swoją egzotyczność i stają się pokrewnymi nam ludźmi, chociaż autor nie idealizuje ich tendencyjnie, lecz opowiada szczerze to, co dostrzegł w ich sercu i głowie. A że dostrzegł więcej od innych obserwatorów, że pod żółtą skórą Jakuta odkrył „czystą treść człowieka,” zawdzięcza to bogactwu własnej indywidualności, która swoimi skarbami obdarzała hojnie maluczkich.

W lichej łódce jakuckiej np. widzi autor



Rudyard Kipling.

krystalizację pracy umysłowej dzikich mieszkańców tajgi.

„Gdy drżąca wdzierła się na odpychające bałwany, płatając je ostrym dziobem, i odrzucała na obie strony tyle tylko chłodnego płynu, ile było potrzeba dla uniknięcia przykrych wstrząśnień i zabryzganego wodą, zdawało się, że to nie martwe drzewo, ale jakaś przejrzysta myśl ludzka niesie człowieka spokojnym i bezpiecznym wśród rozrzuconych odmetów.

„Tak to myśl była! Ścisła formuła matematyczna, zamknięta przez człowieka w tarcie i kołki. Wydała ona plon setny: rozczłonkowano ją, rozwinięto, urobiono, ale zrodziła się w tych czaszkach małpich, pochylonych, w tych chatkach ubogich, a poród jej wymagał tysiąckroć większej pracy, twórczości i woli, niż dalszy rozwój. A my? Cóżemy dali im w zamian tym skromnym, cichym pracownikom? Nic dotychczas, prócz pogardy i ucisku.” (Na kresach lasów).

Krwawy obrządek religijny, oparty na szamańskich przesądach, zmienia się w oczach Sieroszewskiego we wspaniałą i wstrząsającą tragedią bohatera. (W ofierze bogom).

Bogaty i szczęśliwy Tunguz składa bogom w ofierze swoje własne życie, by uratować naród od śmierci głodowej i, przebiwszy pierś nożem, kona z pieśnią błogosławieństwa na ustach. Sieroszewski rozumie to, jałowe pod względem praktycznym, ale szczerne, ze względu na pobudki, poświęcenie barbarzyńcy i współczuje z nim, chociaż cała prze-

paść dzieli poglądy religijne autora od bałwochwaltwa dzikich koczowników Syberyi.

* * *

Na to nigdyby się Kipling nie zdobył. Dla niego wierzenia Indów są tylko zabobonami, które można tolerować, po za którymi jednak niepodobna dostrzedz nic rozsądnego i szlachetnego.

Oto bogaty bramin, minister jednego z państw hołdowniczych, który był w Londynie, korespondował z uczonymi europejskimi, odebrał wykształcenie angielskie, cieszył się zaufaniem Radży i Wicekróla, otrzymał od cesarzowej Wszech Indyi parę orderów i tytuł baroneta, rzuca nagle wszystkie zaszczyty i rozkosze władzy, zapomina o kulturze zachodniej i osiada w górach, jako pustelnik, żyjący z jałmużny, i pogrąża się w rozmyślaniach mistycznych.

Trudno chyba o wdzięczniejszy temat dla artysty-psychologa.

Tymczasem Kipling traktuje rzecz ze stanowiska czysto opisowego: opowiada fakt, niewątpliwie autentyczny, daje bardzo piękny obraz pustelni, nawiedzanej przez dzikie zwierzęta, które „jog” ośwoił, ale nie troszczy się wcale o pobudki samego czynu, o proces psychiczny, rozgrywający się w mózgu byłego dygnitarza, który został dobrowolnym żebrakiem i samotnikiem.

Dlaczego Kipling pominął tę najważniejszą i najciekawszą stronę obrabianego tematu?

Dlatego poprostu, że go to niewiele obchodziło, że nie umie on współczuć aspiracjom rasy, obcej sobie krwią i kulturą.

Przecież mistycyzm indyjski nie jest dziś absolutną zagadką, pisano o nim немало, a nawet propagowano go w Europie, nie wyłączając Anglii, jako nową religię, która ma przynieść zbawienie ludzkości.

Kipling zdaje się o tem wszystkiem nie wiedzieć. Indus nie jest dla niego, jak dla Maksa Müllera na przykład, potomkiem i wychowankiem głębokich a samodzielnych myślicieli i poetów, lecz tylko istotą absolutnie różną od Anglika. Kipling dostrzega tę różnicę, notuje ją, nie dziwi się jej nawet, bo w Indjach, jak powiada, niczemu dziwić się nie należy, ale dalej nie idzie. Jest on za trzeźwy i za zimny na to, żeby sympatyzować z niezrozumiałymi dla siebie ideami i uczuciami. Nie umie on zedrzeć z siebie skóry europejsko-chrześcijańskiej, jak Loti, ani też powiedzieć sobie, jak Sieroszewski: *Homo sum, nil humani alienum a me esse puto* — człowiekiem jestem, a więc wszystko co ludzkie, obchodzić mnie powinno.

Jeszcze, jeżeli idzie o miłość, uczucie elementarne, objawiające się jednakowo pod wszystkimi strefami, to Kipling znajdzie w swym sercu strunę, dźwięczącą smutniejszym i cieplejszym tonem, i zdoła wykrzesać z pod swojego pióra isierkę współczucia dla góralki indyjskiej, zwiedzonej przez Anglika (Lisbeth), lub dla białego „Sahiba,” któremu epidemia zabrała „kolorową” kochankę.

I na tym punkcie jednak autor anglo-indyjski pozostał w tyle za Sieroszewskim, nie stworzył bowiem nigdy takiego typu, jak wdzięczna a nieszczęśliwa Keremes w „Chajłachu,” lub szlachetna i pełna poświęcenia Anna, albo demoniczna w swym żywiołowym erotyzmie Mergen z „Dna nędzy” (w zbiorze „Brzask,” 1900).

* * *

Ostatnio wymieniona powieść zasługuje na specjalną uwagę, zajmuje ona bowiem w literaturze egzotycznej całego świata stanowisko wyjątkowe, zarówno ze względu na temat, jak i na stosunek autora do tematu.

Bohaterowie opowiadania nie tylko należą do rasy obcej, różnej, a zarazem niższej umysłowo i moralnie od nas, ale zostali przez tę samą rasę odepchnięci, jako istoty nieczyste, i tworzą rodzaj społeczeństwa zamkniętego w sobie i odciętego zupełnie od reszty ludzi, którzy nie chcą się stykać z wyklętymi. A powodem tego surowego ostracyzmu nie jest jakiś sztucznie wytworzony przesąd religijny, lub kastowy, lecz naturalna i usprawiedliwiona zupełnie obawa, oraz wstręt czysto fizyczny. Owe wyrzutki społeczeństwa jakuckiego bowiem—to trędowaci, to jednostki nie tylko skazane na zgon powolny i straszny, ale szerzące swoim techniem zagładę dokoła. Każdy z nich jest żywym ogniskiem zarazy, ofiarą, a zarazem sprzymierzeńcem boga śmierci. Każdy z nich wie o tem, czem jest i co go czeka, i nie dziwi się niechęci, jaką budzi we współbraciach. Odosobniony od nich, żyje, albo raczej kona powoli w towarzystwie podobnych sobie nędzarzy, nie śmiąc przekroczyć granic okręgu leśnego, w którym go zamknęto.

Gdy przyciśnięty głodem, odważy się na to, każdy zdrowy Jakut ma prawo strzelać do „wyklętego,” jak do dzikiego zwierzęcia.

Słowem, dola tych żywych trupów—to ostatni wyraz nieszczęścia, to samo „dno nędzy,” jak powiada w tytule autor.

Tak się przedstawia temat ze strony rzeczowej. Zobaczmy teraz, co się z niego zrobiło pod piórem Sieroszewskiego. Jak mówiliśmy wyżej, autor „Chajłacha” tem się wyróżnia od innych pisarzy egzotycznych, że dzięki gorącemu współczuciu i sympatii dla wszystkiego, co ludzkie, umie on odnaleźć pod warstwami głupoty i barbarzyństwa jasne iskierki nieśmiertelnego ducha, i odtwarzając postać Jakuta lub Tunguza, uwydatnia przedewszystkiem to, co w nim tkwi rzetelnie i typowo człowieczego, traktując dziwaczne cechy rasowe jako charakterystyczny ornament, nie jako motyw zasadniczy.

Sieroszewski nie wysuwa egzotyzmu na przód, ale przeciwnie stara się go przełamać i nagiąć do miary psychologii ogólnej, szukając po za efektownymi osobliwościami czegoś prostego a trwałego.

Tę samą metody trzymał się, pisząc „Dno nędzy,” z którego, przebiwszy podwójny mur egzotyzmu, tkwiącego w temacie, zrobił, nie zaciekawiające opowiadanie turysty, nie czułościową nowelkę w rodzaju „Trędowatego z Aosty” de Maistre’a, lecz jędrny, skupiony i pełen grozy dramat, oparty na motywach wszechludzkich.

Tam, gdzie kto inny widziałby tylko cuchnące łachmany i owrzodzone ciało zwy-

rodniałego barbarzyńcy, Sieroszewski dojrzał duszę pokrewną naszej, duszę zdolną do nienawiści, miłości, tęsknoty, zbrodni lub poświęcenia bez granic.

Jakut nie przestał być Jakutem, a spowiniewany kaleka kaleką, ale każdy z nich sprawia współcześnie wrażenie człowieka, t. j. istoty, której niewolno nam traktować obojętnie, której cierpienia i losy nie mogą być dla nas jedynie przedmiotem zimnych badań przyrodniczo-etnograficznych, lecz muszą w nas budzić serdeczną sympatię i współczucie.

* * *

Ponieważ w studium niniejszem nie szło nam o szczegółowy rozbiór krytyczny prac Sieroszewskiego, tylko o porównanie jego stanowiska względem egzotyzmu ze stanowiskiem innych pisarzy tej samej kategorii, nie możemy przeto zastanawiać się nad pojedynczymi typami, sytuacjami i dziełami autora „Dna nędzy.”

Zaznamy tylko, że jak to widać z przytoczonych przykładów i zestawień, Sieroszewski tem się różni od Lotiego i Kiplinga, że nie traktuje tematów egzotycznych w sposób egzotyczny, lecz stara się odebrać im charakter wyjątkowości.

Kiedy dwaj poprzedni—każdy z innych powodów—kładą nacisk na przepaść, dzielącą rasy kolorowe od rasy białej, Sieroszewski przeciwnie: akcentuje właśnie podobieństwo duchowe wszystkich plemion świata, uwydatniając rysy wspólne całemu gatunkowi, zwanemu *Homo sapiens*.

To też, kiedy Loti, wysuwając na plan pierwszy własne swoje ja, rozplywa się w nastrojach egotyczno-impresjonistycznych, kiedy Kipling zdobywa się na wyraziste, nerwowe, ale fragmentaryczne sylwety i szkice—jeden Sieroszewski daje przedmiotową i pełną syntezę życia i kultury ludów obcych.

Jeżeli idzie o sympatię dla ras pogardzanych, to Sieroszewski nie jest ani pierwszym, ani jedynym przedstawicielem idei humanitarnych w literaturze egzotycznej. Nie mówiąc już o sentymentalnej pani Beecher Stowe, oraz jej poprzednicze z wieku XVIII, Afrze Behn, autorce „Oroonoko,” musimy tu wspomnieć o holenderskich nowelistach Multatulim i van Rees’ie, którzy występowali z wielką siłą i szlachetnością w obronie praw Malajczyków, krzywdzonych przez rząd królestwa Niderlandzkiego. I Multatuli i van Rees jednak traktowali przedmiot w sposób tendencyjny, polemiczno-satyryczny, podporządkowując często artyzm celom humanitarно-społecznym.

Tego Sieroszewski nie robi. Altruizm jego nie ma w sobie nic opozycyjno-tendencyjnego. Tworzy on dzieła sztuki, ale nie pamflety. Sympatia i współczucie dla ras niższych wiążą się u niego z innymi czynnikami artystycznymi w jedną całość organiczną, przenikają twórczość powieściopisarza do głębi, nie przybierając nigdy formy luźnych dodatków i wstawek publicystycznych.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, musimy przyznać, że dzieła Sieroszewskiego stanowią w ewolucji powieści egzotycznej niejako punkt zwrotny.

Postawiwszy egzotyzm na gruncie ogólnoludzkim, odebrał autor „Dna nędzy” ro-

mansowi zamorskiemu jaskrawą szatę dziwactwa i osobliwości i roztopił uprzedzenia i wstręty rasowe w szerokim oceanie idei humanitarnych. To stanowi jeden z najcharakterystyczniejszych rysów działalności pisarskiej Sieroszewskiego.

Z tą cechą wiążą się i inne, natury czysto artystycznej. Sieroszewski, chociaż obrabia tematy, mające podkład romantyczno-awanturniczy, ujawnia w sposobie ich traktowania pewien klasyczny spokój, z którego nie wychodzi, nawet opisując najdramatyczniejsze powikłania i sytuacje.

Bezstronna, wolna od wszelkiego doktrynerstwa sympatia, z jaką patrzył na ludy wół dzikie, nadała sądom jego o nich bezwzględną obiektywność, a wskutek tego, pierwotne charaktery i stosunki, które zgłębił do gruntu i które odtwarzał, przedstawiły mu się w oświetleniu podobnem do oświetlenia, panującego w starych eposejach, opiewających również człowieka prostszego o wiele i bardziej zbliżonego do przyrody, niżeli Europejczyk współczesny.

Znaleźć oświetlenie odpowiednie do natury odtwarzanego przedmiotu—to znaczy, znaleźć właściwy punkt widzenia, czyli podstawę syntezy.

Otóż, swoim poglądom społeczno-filozoficznym zawdzięcza Sieroszewski pewność i spójność swojej syntezy artystycznej, której rozbiór nie wchodzi w ramy niniejszego studium.

Na zakończenie zrobimy tu jeszcze uwagę, że ewolucja romansu egzotycznego biegnie po tej samej drodze i zmierza tu temu samemu celowi, co ewolucja romansu ludowego.

Hasłem jednej i drugiej jest Dyogenesowski: *Hominem quaero!—Szukam człowieka.*

IGNACY MATUSZEWSKI.



Nic więcej.

*

Nie mamy nic wspólnego!... Tak!
Nic z sobą nas nie łączy:

Tylko ten długi cierni szlak,
Co nigdy się nie kończy.
Wspólnego nic—jedynie ten
Przed laty wyrojony—
Gorący, święty, wzniosły sen
Walk, pragnień za miliony;
Ten hardy działań przyszłych szkic,
Młodości plód junaczey,
I więcej nic, i więcej nic—
A to tak mało znaczy!...

Nie mamy nic wspólnego już:
Minęły sny i szale;
Znikł wszelki ślad, prócz onych zórz,
Co nas dłoń w dłoni znały;
Prócz ust szepczących niegdyś: „Żyj
Kochanej piersi tchnieniem!”
Nic, prócz tych ssących serce żmij,
Co zową się wspomnieniem!
Twój cichy szep, mój wrzący śpiew,
Gdy drgała pierś gorącej,
I ta zmieszana w żyłach krew...
I więcej nic... nic więcej!

ADAM M-SKI.



ANDRZEJ FREDRO, WOJEWODA PODOLSKI,
odbija jeńców Tatarom, 1487.

Z CYKLU J. KOSSAKA
„FREDROWIE.“



WAWRZYNIEC FREDRO
wjeżdża w poselstwie do Stambułu, 1500.

Z CYKLU J. KOSSAKA
„FREDROWIE.“



ALEKSANDER hr. FREDRO
pod Hanau, 1813.

Z CYKLU J. KOSSAKA
„FREDROWIE.“



EDWARD hr. FREDRO
1813.

Z CYKLU J. KOSSAKA
„FREDROWIE.“

Adam Krechowicki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

24)

A była niezwykle zmieniona. Dawny blask oczu powrócił, śmiały się usta, promieniała twarz. Gallga zaś rzekła z tryumfem:

— A widzisz! Pierzchły gnębiące myśli... gdy dobre postanowienie przyszło... Sobie i jemu pocieszenie przyniesiesz. Z takim utrapieniem miłosnem walczyć niepodobna!...

I uszczęśliwiona tą przygodą, czynić poczęła przygotowania do owej wyprawy. Umyśliła, że wyjdą, gdy noc zapadnie, przez tę samą furtę, którą niegdyś wkroczył Wilhelm, a która teraz całę niestrzeżoną była. Dwór, pogrążony razem z królową w żałobie, wcześniej udawał się na spoczynek; nie było tedy niebezpieczeństwa, aby kto dojrzał ową wycieczkę.

Gdy nad wieczorem nadbiegł od Bebeka Węgrzynek, ów, który, jako u dworu znany, bo razem z orszakiem królowej przybyły, do zamku przystęp miał, przyjęła go Gallga słowami:

— Wracaj co tchu... i powiedz, że skoro nocna cisza zapadnie, Elżbietka przybędzie. Niech zaś nikt nie snuje się wokoło zamku, iżby podejrzeń nie wzbudzić...

Cały dwór w głębokim był śnie pogrążony, gdy Gallga, wspierając słabnącą znowu i drżącą Elżbietkę, wysunęła się przez furtę z zamku. Stały i obejrzały się trwożnie: dokoła nie było nikogo; zupełna cisza, jeno z oddali dochodzą odgłosy kroków straży. Noc mroźna, pogodna, ale od północy wichur dał silny, jakby chciał wszystkie światła niebieskie, które drżały, pogasić.

Tłumiąc oddech w piersi, tuląc się do muru, iżby jak najmniej widocznymi być, Elżbietka i Gallga zrazu z wolna zsuwały się z góry, a potem poczęły biec ku Mornsteinowej gospodzie.

W tej samej izbie na dole, kędy owa pątniczka wróży Janowi z Münsterberga czyniła, krył się on teraz razem z Bebekiem. Tak bowiem uradzono, że należało w pobliżu zamku być, iżby łatwiej wejść z nim w porozumienie i o woli królowej się dowiedzieć.

Emeryk, odkrywwszy wszystko zambiickiemu księciu, czego się w Krakowie dowiedział, tak mu rzekł:

— Królowa nas pewno czasu pierwszej żałoby przyjąć nie zechce, więc albo czekać będziemy musieli, albo poselstwo nasze sprawić za pośrednictwem Elżbietki, która przemądra jest.

I zaraz chytrze począł mówić o Elżbietce, jako w zgnębieniu widocznym jest, jako przez jej niegdyś tak błyszczące oczy blady smutek teraz wyziera.

Głową chwiały z politowaniem i wzdychał.

— A no... — dorzucił — własny jej upór tak jej dziś dogryza. Nie chciała rad rodzica słuchać, ma teraz niedolę z tym Spytkiem, który jeno o powiększeniu majątności myśli,

grody moje już pono zagrabił, a piękna jego małżonka w opuszczeniu, łzach i tęsknocie schnie... Ot, na co przyszło mojej ślicznej dziewczce!

Słuchając zaś tego biadania, Jan z Münsterberga czuł, że mu się serce rozrywa. Dawny żal zniknął, a natomiast całą duszę zalewało niewymowne współczucie i takie pragnienie ujrzenia na własne oczy Elżbietki, że w niem wszelkie inne myśli, postanowienia i zamiary utonęły.

Pozostawiwszy tedy orszak swój w Łobzowskim zameczku, przeniósł się za radą Bebeka ukradkiem do Mornsteinowej gospody, a jeszcze tejże nocy snuł się pod zamkiem, kędy go oko Elżbietki dostrzegło. Powróciwszy, zdzierżyć się już nie mógł i rzekł do Emeryka:

— Ja córkę waszą widzieć muszę!... Jutro otwarcie do zamku pójde...

Wojewoda spojrział na niego przerażonym wzrokiem.

— I źle uczynicie! — przerwał żywo: — królowa was nie przyjmie, a Spytko od dworzan i dworek dowie się zaraz, żeście wy tam z Elżbietką mówili, tak zaś w gorsze jeszcze wtrącilibyście ją niedolę, bo on zazdrosny jest... Zresztą dostać się tam trudno; mnie, rodzica, zaledwie ochmistrzyni w tajemnicy wpuściła, albowiem czasu żałoby najcięższej obcy nie mają przystępu... A zresztą cóżbyście mówili z nią... gdy pani Beska nie odstępowała na krok?...

— Więc co czynić? co czynić? — wołał książę, biegając po izbie.

A Bebek patrzył na niego z podębem i myślał:

— Ten już stracony jest... w moich zupełnie ręku. Uczyni, co jeno zechce...

Głośno zaś rzekł:

— Żal mi was, mości książę, bardzo mi was żal... Stała się wam krzywda, a należy się wam za wasze stateczne i wierne miłowanie, nagroda...

— Chyba w niebiesiech! — z goryczą przerwał Jan.

Wojewoda zaś chytrze dorzucił:

— Tak mniemam, że teraz z zamku łatwiej wyjść, niż tam się przedostać... Elżbietka mogłaby tu niemocnego rodzica odwiedzić...

Zrazu zakrzyczał na to książę.

Nie! to być nie mogło... Elżbietka zbyt harda jest... nie przystałaby nigdy... Zresztą i on nie zgodziłby się, aby ona, ta cudna, wspaniała, niewiasta przychodziła tu, do tej nędznej gospody. On ją tak miłuje, że nie mógłby przenieść, iżby na nią padł choćby cień sromoty...

Ale Bebek, śmiejąc się w duchu z takich uczuć, których nie rozumiał, przedstawiać począł, że w tem zgolał zdrożnego nie było nic, albowiem obecność jego, rodzica,

wszystko pokrywa, nawet gdyby się pan Spytko dowiedział. Zresztą, skądby się on i od kogo o tem dowiedział? Ta gospoda nie takie tajemnice skrywała, a przecież Wilhelm rakuski długo tutaj utaić się mógł...

Jan z Münsterberga coraz słabiej bronił się i niemal z wdzięcznością słuchał przekonujących słów Bebeka, a wreszcie rzekł:

— Widzi Bóg, że zdrożnego w tem nie ma nic, i że ja o złem nie myślę... Jedno tylko słowo Elżbietce powiedzieć pragnę... to słowo, które mi tu na miejscu wróżka rzekła, a które pocieszenie dać jej winno...

I odtąd zaczęło się oczekiwanie w niepewności okrutne. Gdy zaś Węgrzynek przyniósł odpowiedź Gallgi, niepokój zambickiego księcia nie znał już granic.

To biegał po izbie, to siadał i zapatrywał się sztywnie w płonące na kominie ognisko, a nasłuchiwał ciągle.

A Bebek, na ławie przyległszy, myślał:

— Ów już całkiem zmysłów się zbył... I co to taka jedna niewiasta z człeka uczynić może! Dziś jest jak miód, jutro jak pieprz... a głupiemu zawsze smakuje... Tfu!

Splunął, owinał się w opończę, oczy przymknął i drzemać począł.

Wtem wśród ciszy ozwały się odgłosy przyspieszonych kroków; czuwający przy drzwiach Węgrzynek otworzył, i na progu stanęła Elżbietka. Za nią wyglądała pełna ciekawości twarz Gallgi.

Jan z Münsterberga porwał się i podbiegł, mimowolnie wyciągając ramiona.

Ale Elżbietka odrzuciła z twarzy okrywającą ją żalobną zasłonę, i on cofnął się na widok tego oblicza, bladego trupio, z rozszerzonymi lekkiem oczyma.

Płaszcz futrem podbity zsunął się z jej ramion, a ona, słaniając się na nogach, weszła i upadła na ławę, dysząc.

Bebek leniwie dźwignął się.

— Co się stało? — spytał.

— Widziano nas! śledzono! — wyszeptała Elżbietka.

A Gallga poczęła się śmiać.

— Et, przywidzenie!... — rzekła, machając ręką. — Szło wprawdzie dwóch ludzi w tę stronę, pewno z jakiej gospody; żeby jednak śledzić nas mieli, to jeno domysł ze strachu.

Książę natychmiast wysłał Węgrzynka na zwiady, a sam, zbliżywszy się do Elżbietki, ujął jej rękę zimną, jak lód, i mówił stłumionym głosem:

— I także to nasze spotkanie, wśród lęku, w takiej gospodzie... po tylu udęczeniach i tęsknocie?

Ona głowę chyliła w pomieszeniu, a potem nagle ją podniósłszy, ujrzała przed sobą zbliżoną tę dziwną twarz, posępną a pełną uroku i siły, patrzącą na nią ognistymi oczyma, które w głąb zapadły. Myśli gryzące wyłobity bródz na czole pięknym, wynios-

łem, a głosowi nadały jeszcze tęskniejsze, bardziej przejmujące brzmienie. Nie mówiła nic, oczu nie mogąc oderwać od tej postaci, obok której bezpieczniejszą się czuła.

Wpadł Węgrzynek, zwiastując, że wokół gospody cicho było i pusto.

Gallga zawołała:

— A co? nie mówiłam!... Jacys przechodnie, którzy ani myśleli nas śledzić... Elżbietka nadto bojaźliwą się stała...

I przysiadłszy na ławie przy Emeryku, z nim poczęła z cicha rozmawiać, nie spuszczając jednak z oka tych, których nieszczęśliwa miłość tak ją zajmowała mocno.

Dziwne to jednak było kochanie, całe jej pojęciu nie odpowiadające, bez żadnego porywu, a pełne smutnej i jakby uroczystej powagi.

Zrazu rozmawiali z sobą spojrzeniem, a potem Elżbietka, uspokojona nieco, rzekła, odpowiadając na ostatnie słowa Gallgi:

— Nie ludzi ja się lękam, jeno kary Bożej za krzywdę, którą wam wyrządziłam.. i za to, co teraz w sercu mem czuję, i za to, żem tu dzisiaj jest... Powiedzieć, zali przebaczyliście mi krzywdę?...

— Krzywdę? — powtórzył Jan: — ty mi, Elżbietko, nie uczyniłaś nijakiej... Tak być musiało... Przepowiedziała mi to wróżka, tu w tej izbie, na tem samem miejscu, gdzie jesteśmy... Przepowiedziała, jako szczęście moje zrabowane mi będzie... I sprawdziło się... zabrał mi je Spytko!

— O, nie mówcie tak!... — przerwała ona: — ani Spytko, ani ja nie mamy dobrej doli... nie mamy!...

— Wiem o tem i... boleję, bo twego szczęścia pragnę... I właśnie dlatego widzieć cię chciałem, iżby ci powiedzieć: bądź w sumieniu twem spokojna... nie uczyniłaś mi krzywdy, albowiem tak stać się musiało... tak było postanowione... Jedna połowa wróżby ziściła się, więc i druga sprawdzić się musi... Wierzę w to, jak w zbawienie!...

Ona zaś cała na jego ustach zawisła i, podnosząc się nieco z ławy, pytała zdyszana:

— Cóż więc? co jeszcze?...

Jan z Münsterberga pochylił się ku niej i głosem, który drżał, a chociaż stłumiony, siłą przenikał, rzekł:

— Wróżba powiedziała: Zrabuję ci szczęśliwość twoją, ale ona wróci do ciebie... Ty wrócisz do mnie, Elżbietko!

A na te słowa, powieki jej zaczęły tak drgać, jak gdyby od nagłego a wielkiego światła. Przymknęła na chwilę oczy, oddychając szybko a ciężko.

— Jakże to... — szepnęła — jakże to stać się może?

On zaś ujął znowu jej zimną dłoń i mówił z naciskiem:

— Wierzę w to, jak w zbawienie!... Jam cię nie postradał, Elżbietko, i tyś jest moją... jeno mi ciebie na czas pewien zabrano... Snadź nie byłem godzien ogarnąć tej szczęśliwości odrazu... Ale wierzę i czekam... czekajmy oboje cierpliwie, aż się spełni...

Elżbietka otworzyła teraz oczy i rozszerzonemi źrenicami patrzyła na jego oblicze, uniesione w górę, rozplamione, jakby ściągające w dali ową przyszłą szczęśliwość, która wrócić musi... Po za nim rozgorzało

jaskrawo na kominie ognisko, że on cały stał jak w ogniu, piękny, ale i straszny w tych blaskach.

— Co się spełnić ma?... — szepnęła Elżbietka.

A na pytanie to ksiązę drgnął, puścił jej dłoń i głowę pochylił.

— Tego ci odkryć nie mogę... — odparł ponuro. — Pytaj Mazowieckiego Ziemowita... on wie, świadkiem był... może powie...

Zamilkli. Ale już Bebek niecierpliwić się poczynił i przywołał Elżbietkę, pytając o ostateczne postanowienie królowej.

— Królowa niemocna i pokutę żalobną czyni — odrzekła ona; — prosi was tedy, abyście poselstwo na inny czas odłożyli...

— Czekać nie możemy — wtrącił Emeryk.

— To niedługo — ozwała się Gallga: — za dni kilka najcięższa żaloba się kończy, i królowa wyjdzie już ze swej komnaty. Natenczas poselstwo sprawicie...

— Strzymajcie się! — prosiła z cicha Elżbietka zambickiego księcia.

On zaś myślał moment, a potem rzekł do Emeryka:

— Poselstwo nasze sprawić musimy... i usłyszeć z ust własnych królowej odpowiedź dla króla Zygmunta. Należy nam przeto zaczekać. Ale już uczynimy inaczej. Odprawimy uroczysty wjazd i nie będziemy kryli się, bo to łatwo podejrzenia wzbudzić może... zwłaszcza jeżeli dziś kto dostrzegł...

— O, tak! o, tak! — prosiła Elżbietka, którą na samo wspomnienie owych ścigających przeniknął dreszcz.

Bebek zaś rozważał i postanowienie wnet powziął.

— Dobrze tak, — ozwał się po chwili — dobrze mówicie. Dziś jeszcze o brzasku ujdziemy stąd napowrót do Czarnej wsi. Ale tam będziemy jeszcze kryli się, by nam tu tejsi panowie nie popsowali. Węgrzynek zaś zostanie tu i da nam znać, gdy się od Elżbietki dowie, że królowa poselstwo nasze gotowa przyjąć. Wówczas zniemacka a uroczyście uczynimy wjazd...

I tak ułożywszy, żegnano się, z pewną wszakże otuchą, że to jeszcze nie raz ostatni, że potem jawnie, czasu poselstwa, na zamku widzieć się będzie można.

Na blade usta Elżbietki wybiegał nawet uśmiech, a oczy jej promieniały, gdy mówiła do księcia:

— Jużem nie taka, jak dawniej... Tęsknota zabiła dziecięcą płochość... Teraz zaś myśląc o tem, coście mi rzekli, cierpliwie a z otuchą czekać będę przeznaczenia...

— Nie wyrzucaj mnie z myśli swojej — rzekł ksiązę. — A niech ci ona utrapieniem ani wyrzutem nie będzie... boś ty mi jest święta, którą nawet w myśli od wszelakiego złego strzegę...

— Co oni tam o świętościach gadają! — zaśmiał się Bebek.

A Gallga ramionami zżymnęła, bardzo zła.

— To szkoda czasu na takie gadanie! — odparła. — Pomnę na budzińskim zamku albo w Wyszehradzie, inaczej, mocny Boże, bywało... Przynajmniej człek wiedział, dlaczego na niebezpieczeństwo idzie...

— Pewnie... pewnie... — szydził Emeryk; — to też mówiono, że tam jest ciągle wesele, na którym dyabły do płasów grają...

— Kto tam grał, ja nie wiem, ale była zabawa... Tu zaś jeno posty i pacierze, a nawet w kochaniu płacz i wzdychanie ogień gaszą...

Wojewoda ogarniał teraz wzrokiem nie piękną, lecz dorodną postać Gallgi.

— Dalipan, — myślał — podoba mi się ta dominicella: rezolutna jest i do wesołości skłonna.

Zbliżył się do niej; w oczach poczęły mu migotać płowe błyski, i rzekł stłumionym głosem:

— Czekajcie... jako *judex curiae*, ja tam będę miał wielki dwór... to was wezmę... rządzić będziecie...

A na to Gallga wybuchnęła głośnym śmiechem:

— I w starym piecu palić!... — mówiła, chychocząc: — wiecie, wojewodo, dobra myśl!

Urażony Bebek odsunął się, a śmiech Gallgi, szyderski i wyuzdany, obudził Elżbietkę.

Wzdrygnęła się cała i rzekła do księcia:

— Żegnajcie... będzie co da Bóg, ku któremu myśl moja coraz bardziej zwracać się poczyną. Uczyniłam źle, przychodząc tu, ale wyście szlachetni... tedy już się nie lękam, a pamięć o was chować będę na dnie duszy jako skarb najdroższy... Żegnajcie!

Ale teraz Jan z Münsterberga począł się bać... Noc późna, jakże im samym wracać? Węgrzynek to słaba obrona, przeto on sam, choć zdala, towarzyszyć im będzie, iżby w razie potrzeby pomoc dać...

Wyszli. Zupełnie ciemno i pusto, jeno mroźny wiatr jęczy, targając blaszanymi znakami kupców.

Elżbietka, owinięta cała czarną zasłoną szła szybko, raczej biegła, że Gallga zaledwie nadążyć mogła.

— U ciebie — mówiła — miłowanie dziwne jest... lezie jak żółw, gdy na spotkanie idzie, a skrzydła ma, gdy powraca...

Opodal za niemi szedł Jan z Münsterberga.

Niewymowna rozkosz zalewała mu duszę. On teraz widział Elżbietkę taką, jaką ją mieć pragnął: nie zalotną i pustą, jak dawniej, lecz poważną i dobrą, chociaż smutną. I taką miłował ją jeszcze mocniej, na taką czekać chciał choćby lata całe. Krótka ta rozmowa przyniosła im obojgu — czuł to — pokrzepienie i otuchę.

Elżbietka stanęła u farty i zatrzymała się moment. Podniosła zasłonę z twarzy i spojrzała w dal. Oparty o mur, stał zambicki ksiązę, patrząc na nią sztywnie. I raz jeszcze przez mroki pobiegły ku sobie ich spojrzenia, odnalazły się i zwały.

Za moment zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy podwoi, i za niemi zniknęła Elżbietka, a Jan z Münsterberga począł zwolna schodzić z góry, w zadumie z głową spuszczoną na piersi.

Nagle drgnął. W ciszy nocnej posłyszał wyraźnie stłumione stapania. Obejrzał się i dojrzał poruszające się w cieniach dwie postacie. Przyspieszył kroku, ale owi gonić go nie myśleli. Przystanęli nawet, patrząc, kędyby szedł; jeno gdy wchodził do Mornsteinowej gospody, ozwał się za nim szyderczy śmiech.

W progu czekał na niego Węgrzynek.

— Zle, panie — mówił: — ktoś dopatrzył

i śledzi... Gdyście wyszli, nadbiegło wnet tutaj dwóch i wywiadywać się poczęli...

— A ty coś im rzekł?...

— Rzekłem, jako tu w gospodzie są dwaj niemieccy rycerze... A gdy dalej pytać chcieli, odparłem, że nie wiem nic... Z tem oni za wami poszli...

Wojewoda Bebek był bardzo niekontent. Obawiał się jednak nie o Elżbietkę, mniemał bowiem, że owi nie ją śledzili, lecz o to, aby zawczasu nie wpadnięto na trop węgierskiego poselstwa.

— Popsują nam wszystko, — mówił — do królowej nie puszcza, z gołemi rękoma przyjdzie nam wracać do króla Zygmunta. Trzeba nam stąd zaraz precz... i w ukryciu czekać znaku od Elżbietki...

I jeszcze tejże nocy ujechali pośpiesznie napowrót do Czarnej wsi.

Minęło jednak dni kilka, a żadnej wieści od Elżbietki nie było. Bebek okrutnie niecierpliwie się poczynął, nie szło mu bowiem o skutek Zygmunтового poselstwa, który dobrym być nie mógł, lecz o to, iżby Jadwiga, wynagradzając mu za odebrane grody, wydała pismo do węgierskiego króla, stwierdzające, jako on ich obronić nie mógł, i zalecające go łasce królewskiej.

Gdy się tak biedził w niepokoju, nadbiegł dnia pewnego uradowany Węgrzynek.

— Królowa — mówił — opuściła już żalobną komnatę... najcięższa żaloba skończyła się... Przyjmie was, wojewodo, i zambickiego księcia, a prosi, byście rychło przybywali, albowiem król Jagiełło z powrotem nadciąga. Wracają już rycerskie orszaki.

Tedy Bebek rozweselił się wielce i spytał:

— A nie wiedzą tam o nas u dworu?

Jan z Münsterberga zaś dorzucił z niepokojem:

— Zali owi szpiegujący nie nagabywali cię więcej?

Węgrzynek odparł:

— U dworu, oprócz królowej, pani Elżbietki i owej drugiej dwórki, nie wiedzą, zda mi się, nic... Owi zaś szpiegujący jeszcze kilkakrotnie nagabywali mnie... Alem się zawarł w milczeniu... Wiem zaś, kto oni są...

— Mówże! — krzyknął zambicki książę.

— Są to rycerze, których król Jagiełło przodem wysłał, aby królowej oznajmić, iż już wszystkie grody czerwonoruskie posiadał. Jeden z nich to pan Gniewosz z Dalewic, drugi Niemiec jest, z saskich krajów pono, Henniger imieniem, który do pana Gniewosza przystał. Ciekawość ich okrutna piecze, co zacz były owe niewiasty, które nawiedzały was nocą w Mornsteinowej gospodzie. Alem nie rzekł nic...

— Z dusząbyś się rozstał, gdybyś słowo niebaczne pisał! — krzyknął książę zambicki.

— Nie pisnę... i z duszą ostanę! — odparł, śmiejąc się, Węgrzynek.

Tedy nazajutrz o południowej godzinie wojewoda Bebek i Jan z Münsterberga wraz z orszakiem uczynili jawny wjazd do stolicy i wprost udali się na zamek.

Królowa przyjęła ich w wielkiej komnacie, otoczona całym swym dworem i orszakiem rycerstwa, które z Rusi Czerwonej wróciło ze Spytkiem z Melsztyna na czele.

W żalobne szaty odziana, stała na tronem wzniesieniu, taka smutna i blada, że

litość brała patrzeć. Zdawała się cieniem dawnej niewiasty. Uroda jej nie znikła, ale stała się inną, jak gdyby już zgoła nieziemską. Wysłuchiwała poselstwa, patrząc przed siebie, w dal, takim wzrokiem, który ponad wszystkimi unosił się, jakby nikogo nie widział. A wysłuchawszy, odrzekła głosem, który miał brzmienie stłumionego echa:

— W srogiem sieroctwie mojem jest dla mnie niemałą pociechą witać i widzieć posłów niemniej prawicą Bożą dotkniętego, miłego brata mego Zygmunta króla i siostry mej najmilejszej Maryi. Pozdrowienie im moje i żałosne współczucie zanieście...

Tu głos jej zapłynął łzami, ale krzepiąc się i prostując, wnet dodała z większą mocą:

— Powiedźcie jednak, że wolą moją i mego najjaśniejszego pana małżonka i króla jest: odzyskaną puściznę Kazimierzową, grody czerwonoruskie, przy koronie naszej zachować... Nadzieję mam i otuchę, że miłościwy pan, brat mój Zygmunt, nie zechce przymnażać nam żaloby i czynić w tem przeszkód, o co go proszę i zaklinam. Proszę go również, iżby nas razem z małżonką odwiedzinami tutaj pocieszyć raczył, a na tak radosnym zjeździe sprawy owe zgodnie, da Bóg, załatwimy...

Taką dawszy uroczystą odpowiedź, Jadwiga zeszła z tronowego wzniesienia, a zbliżywszy się do Jana z Münsterberga, z nim rozmawiać poczęła, wypytując go troskliwie o siostrę swą Maryę i jej małżonka.

Tymczasem Bebek szepnął do Elżbietki:

— Królowę wnet prosić będę o pismo do Zygmunta... ty przypilnuj, iżby było gorące... a także Janowi z Münsterberga powiedz, aby mnie przed gniewem Zygmunta skutecznym słowem zasłonił... Inaczej z rodzicem twoim będzie źle... Wydałem grody, nie broniłem ich, a uczyniłem to jeno z miłości dla pani Jadwigi i dla ciebie... boć tam pono twój pan małżonek wielki szmat ziemi Samborskiej już uzyskał i jeszcze więcej uzyska... Tedy mnie brońcie...

Tymczasem królowa, skończywszy rozmowę z księciem zambickim, zwróciła się bardzo uprzejmie do wojewody, który wnet na swój los okrutny biadać począł, jako wydany jest teraz na mściwy gniew króla Zygmunta.

— Bądźcie bez lęku, miły wojewodo — odrzekła Jadwiga: — do króla ochotnie pismo wyprawię z przedstawieniem, jako nie na pomstę, lecz na nagrodę zasłużyliście, unikając daremno krwi rozlewu...

Gdy to mówiła królowa, a Bebek rozpromieniony podzięki składał, Elżbietka zbliżyła się sama do Jana z Münsterberga i, nie podnosząc na niego wzroku, poczęła prosić go za rodzicem.

— Macie posłuch u króla, — mówiła z cicha — tedy zasłonię go przed jego gniewem i nie dopuście krzywdy...

On zaś ogarniał ją ognistym wzrokiem i odparł:

— Uczynię to... wszystko uczynię dla ciebie, Elżbietko...

Ona teraz podniosła oczy i dziękowała mu długim wymownym spojrzeniem. Wreszcie szepnęła:

— Bogu was oddaję... Myślcie o mnie...

— Do śmierci — odparł książę.

Słów rozmowy nie słyszał, ale namiętym wzrokiem ścigał ich pan Spytko. To bladł, to czerwieniał naprzemian, a dostrzegłszy, jako spojrzenia łączyły się z lubością, gryzł wargi do krwi.

Gdy się posłuchanie skończyło, podbiegł w antykamerze do Jana z Münsterberga i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Bywajcie, mości książę... Rycerskim obyczajem urazy chować nie należy... Jako zwycięzca, pierwszy przychodzę i, skoroście tu przybyli, proszę: przyjmijcie pod dachem moim gościń...

Jan podniósł swą posępną, bladą twarz i badawczym wzrokiem spojrzał.

— Dzięki wam, — odrzekł zwolna — ale obyczajem rycerskim odpowiem szczerze: nie dla mnie gościna pod dachem waszym, wojewodo!...

Sklonił się i odszedł. Zapalczywy pan Spytko chciał biedz za nim i zwadę wywołać, ale wstrzymała go myśl, że zwadą taką w tym momencie ściągnałby jeno na siebie gniew królowej.

— Zobaczmy się jeszcze! — mruknął ze złością.

Tymczasem Bebek, rozradowany obietnicą królowej i tem, co mu Elżbietka o przyrzeczeniu zambickiego księcia powiedziała, patrzył teraz lubieżnie oczyma na wychodzącą Gallę. Patrzył i grubemi wargami mlaśkał, a wreszcie podbiegł ku niej i szepnął:

— Teraz niechybnie będę *judex curiae*... Radzę namyślić się...

Ona odwróciła ku niemu swoją nieco za tłustą i za czerwoną twarz i spojrzała młemi, świdrującymi oczkami, w których śmiało się jakoweś szyderstwo.

— Żadam, — odparła — abyście rok cały z jedną zamrużoną powieką dla miłości mej chodzili... A gdy tę próbę wytrzymacie, ślijcie piękne poselstwo swadziebne z jeszcze piękniejszymi dary...

I odeszła, rozchylając szeroko w śmiechu czerwone usta i szczerząc białe, wielkie zęby.

Wojewoda zaklął wściekle i, dogoniwszy Jana z Münsterberga, tegoż dnia jeszcze, razem z nim, Kraków opuścił, spiesząc do króla Zygmunta.

VI.

Pan Gniewosz z Dalewic z rozkazu króla powrócił przed nim z Hennigerem do Krakowa, nie na razie nie wskórawszy. Obdarowany już został pan Jaśko z Tarnowa, otrzymawszy w dzierżenie Jarosław, i Przeworsk, i Gliniany; kontent był pan Spytko z Melsztyna z obszernej ziemi Samborskiej, a Ziemowit Mazowiecki ucieszył się Belską ziemią, którą Jagiełło dał mu jako wiano siostry swej, Aleksandry; radowali się i inni, jak Tęczyńscy i Herburtowie, on zaś dotychczas prócz obietnic nie otrzymał nic. Jagiełło, który na podszepty Gniewoszowe coraz bardziej czułym się stawał, chciał go snadź w Krakowie przy sobie mieć i w zależności swej trzymać. Raz jednak, widząc jego zafasowaną minę, rzekł:

— Uczynię cię podkomorzym krakowskim...

Patrzył z podełba na Gniewosza, który



Ostatni rysunek J. Kossaka, robiony dla „Tygodnika“ na kilka tygodni przed zgonem.

BUDRYS

JULIUSZ_KOSSAK

wprawdzie dał pokłon, ale widocznie niechętnie...

Tedy Jagiello głową począł chwiać i do-rzucił:

— Dam ci też Wiśnię pod Przemyślem, abyś tam sądy czynił...

Rozpromieniło się oblicze pana z Dale-wie, i rzucił się do kolan pańskich.

Ale król żywo dziękczynienie przerwał:

— Jenó jeszcze nie teraz, nie! Teraz tyś mi w Krakowie potrzebny...

Gdy zaś Jadwiga ze Lwowa ujechała, Jagiello wkrótce niespokojnym począł być i, przywoławszy Gniewosza, kazał mu po-wracać.

— Jedź, miły mój, jedź, — mówił — a na Wawel baczne oko miej... dzień i noc czuwaj...

Wykręcał się jak mógł pan z Dalewie, nie chcąc odjeżdżać bez zdobyczy pewnej,

ale w końcu uleść musiał, jenó Gryfitę na straży zostawił.

— Ty—rzekł—pilnuj, iżby tu wszystkie-go pan Spytko nie zagrabił. Staraj się innych panów zawiść przeciw niemu wzbu-dzić, a mojej Wiśni strzeż, iżby innemu w chciwą gębę nie wpadła... Potem podzielę się z tobą, jak z bratem...

DCN

Z tygodnia na tydzień.

Kossak i Andriolli.

Pomnikowe wydanie albumu Kossaka, który był nie tylko znakomitym malarzem, lecz i świetnym ilustratorem życia współczesnego sobie i momentów ubiegłej przeszłości, przywiodło mi na myśl innego, niemniej popularnego w swoim czasie i również wybitnego ilustratora—E. M. Andriollego.

Obrabiał on te same tematy co Kossak, obrabiał w sposób bardziej jednostronny a mniej harmonijny i gonił może więcej za efektem, niżeli za prawdą, posiadał więcej maniery, niżeli stylu—to fakt, a mimo to trudno zaprzeczyć, że Andriolli, aczkolwiek niższy od Kossaka, był niezwykle i silną indywidualnością artystyczną, której należałoby oddać należną sprawiedliwość choćby przez wydanie wyboru jego prac, rozrzuconych po różnych pismach, ze specjalnem uwzględnieniem wielkich kartonów.

Uwagi te narzuciły mi na myśl „Pamiętniki kwestarza” Chodźki, które ukazały się obecnie w drugim taniem wydaniu z ilustracjami Andriollego.

Rysunki do „Pamiętników kwestarza” należą bezwarunkowo do najlepszych prac Andriollego. Nie czuć w nich maniery, ale czuć życie, werwę i humor.

Jak doskonałym w charakterze jest obrazek, wystawiający spotkanie kwestarza z ekonomem nad kałużą!... albo drugi, na którym kwestarz przygląda się okiem znawcy tureckiej klindze!

I sceny zbiorowe, które zwykle u Andriollego wychodzą zawile i mętne, odznaczają się tutaj jasnością i prostotą kompozycji, np. rozstrzelanie Wołodkowicza, pojedynek, spotkanie w lesie, kwestarz pomiędzy żołnierzami francuskimi i t. p.

Wogóle Andriollemu łatwiej poszło z Chodźką, niżeli ze Słowackim i Mickiewiczem: prostota gawędy podziałła na zmanierowaną rękę w sposób dodatni.

Poszukawszy dobrze, znalazłoby się pomiędzy pracami płodnego ilustratora więcej rzeczy podobnych, które wartoby wyrwać z niesłusznego zapomnienia.

✱

W sprawie jubileuszu Sienkiewicza.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu adresowanych do mnie nader licznych listów z zamówieniami biletów wejścia na raut jubileuszowy i na przedstawienie w teatrze Wielkim, odbyć się mające w grudniu ku uczczeniu Henryka Sienkiewicza, mam sobie za obowiązek podać do wiadomości, że jako Skarbnik Komitetu, osobiście żadnego udziału specjalnego w tej czynności nie biorę.

Pragnący zatem uczestniczyć w tych uroczystościach raczą zwrócić się w ciągu m. listopada z żądaniami piśmiennymi do kancelaryi Komitetu jubileuszowego, do p. Juliana Korsaka (Biuro War. Tow. Wzaj. Kredytu, Królewska 14), w godzinach biurowych.

Po zamknięciu listy zgłaszających się Komitet jubileuszowy w pełnym swoim składzie dokona repartycji biletów na pomienione uroczystości, uwzględniając przede wszystkim żądania tych wielbicieli Sienkiewicza, którzy gorliwym udziałem w pracach Komitetu dopomogli mu do spełnienia podjętego przezeń zadania.

Wszystkie dotychczas nadesłane mi listy w tym przedmiocie złożone zostały w kancelaryi Komitetu jubileuszowego.

Z poważaniem

J. Wieniawski.

✱

Nasze sądy.

„Semper ad manes posthuma dulcedo laudis
Perveniet nostras et seri sensus honoris.”

Tak skarżył się Sebastyan Klonowicz. I skarga jego była słuszna.

Oto po śmierci Stanisława Szczepanowskiego, ukazały się dłuższe i krótsze wspomnienia...

Czy jednak znajdzie się ktoś, coby temu niepospolitemu człowiekowi należyta oddał sprawiedliwość i napisał porządne wyczerpujące studium o jego publicznej, politycznej i ekonomicznej działalności? Jeżeli posiadaliśmy umysły potężne z górnym polotem i szeroką inicjatywą; jeżeli posiadaliśmy postacie niezwyklej miary i enoty niezwyklej—toć do ich grona należał ś. p. Szczepanowski. Takiego człowieka nie zbywa się ani wzmiankami, ani artykułami pisanymi z dnia na dzień na kolanie.

Wart on czegoś więcej...

Nie wątpimy, że nasze poważne wydawnictwa peryodyczne o takich pracach pomyślą...

Jeżeli poświęcamy całe felietony nowej sztuce, wystawianej nawet w teatrach ogródkowych, jeżeli notujemy skrzętnie wiadomości o wawrzynach Pytłasińskich, jeśli nie żałujemy papieru i druku dla śpiewaków zamorskich—na miłość Boską! pamiętajmy o tych, co krew serdeczną, myśl genialną i trud ciężki całego życia złożyli narodowi w ofierze. Nietylko talent przynosi chlubę krajowi, który go wydał.

Na szalach przyszłości na dobrą stronę przeważą: dzielny charakter, silna wola, genialna myśl i szlachetne, otiarne, zdolne do poświęceń serce.

Byłoby źle, gdybyśmy nie umieli oceniać takich, którzy giną dla idei, i takich, którzy umieją wszystko dla blizkich sercu i duszy poświęcać. Należy przeto dobrze zachować w pamięci imiona Szczepanowskich i Odrzywolskich...

Bo ze wszystkiego najtrudniej... aby w złej czy dobrej doli... człowiekiem zawsze pozostać.

A to byli ludzie... i ludźmi zmarli. d

✱

Józef Kleczyński.

W uniwersytet Jagielloński w Krakowie ciężkie biją gromy. Śmierć obfite zbiera żniwo w szere-
gach jego profesorów, pozbawiając społeczeństwo najdzielniejszych pracowników nauki, najzasłużeńszych piśmiennictwu badaczy w zakresie nauk ścisłych. Śmierć Józefa Kleczyńskiego, aczkolwiek nastąpiła po długiej chorobie, która



Józef Kleczyński.

oddawna trzymała zmarłego zdala od obowiązków zawodu, bolesnem echem odbiła się w kraju, gdyż ś. p. Kleczyński na wielu dziedzinach pracy społecznej niemało położył zasługi i cieszył się szacunkiem i uznaniem nawet w obozie swoich politycznych przeciwników.

Ś. p. Józef Kleczyński pochodził z Podola rosyjskiego, gdzie jego rodzina zdawien dawna

siedziała na roli. Urodzony w r. 1841 w Ihnatkowie, rodzinnym majątku, kończył szkoły w Warszawie i należał do coraz szczuplejszego dziś grona wychowanców b. Szkoły Głównej. Przeniósłszy się w r. 1863 do Francji i tam pracując przez czas jakiś na kolei Lion-Paryż, nie przestawał oddawać się ulubionemu studium nauk politycznych w szkole prawa w Paryżu. Uzyskawszy w Heidelbergu stopień doktora praw, przybył w r. 1869 do Krakowa i wstąpił do redakcji „Czasu,” gdzie od razu zwrócił na siebie uwagę zdolnościami i wyrobionem zdaniem w sprawach polityki ekonomicznej krajowej. Liczne prace ogłoszone drukiem z zakresu statystyki otworzyły mu stanowisko w krajowym biurze statystycznym we Lwowie, gdzie pracował do r. 1880. Jako docent prywatny tamtejszej wszechnicy, powołany był ś. p. Kleczyński w r. 1881 na profesora statystyki i prawa administracyjnego w Krakowie, i na tem stanowisku doczekał się godności rektora w roku 1899.

Jako statystyk i ekonomista, był ś. p. Kleczyński jedną z najwybitniejszych powag. Wszystkie jego prace naukowe—a jest ich poczet niemały—stały zawsze na wysokości współczesnej, zagranicznej nauki i odznaczały się rzadką sumiennością w wyczerpaniu materiału. Jako dyrektor miejskiego biura statystycznego, mając do pomocy kilku zaledwo studentów, ogłaszał stale „Rocznik statystyki m. Krakowa,” wyczerpujący wszechstronnie statystyczne cyfry ludności Krakowa. Działalność naukowa zmarłego była niezwykle obfita i obejmowała nie tylko bieżące ekonomiczne, polityczne i statystyczne zagadnienia, lecz zwracała się z zamiłowaniem do badań historycznych nad załudnieniem i finansowością dawnej Polski.

Ś. p. Józef Kleczyński był członkiem korespondentem Akademii umiejętności i kilku zagranicznych instytutów statystycznych. Jako profesor, posiadał jasny i poglądowy wykład i dar obudzania zamiłowania do przedmiotu u swoich słuchaczy. Ceniony wielce w szerokich kołach Krakowa dla wielkich zalet umysłu i serca, zmarły pozostawił szczery żal po sobie i pamięć dobrze zasłużonego nauce i krajowi.

up

✱

Zapisy ś. p. Karola Szlenkera.

Wdowa po ś. p. Karolu Szlenkerze—czytamy w pismach codziennych—chcąc uczcić pamięć męża i spełniając jego wolę, wyrażoną za życia, przeznaczyła na cele dobroczynne i społeczne sumy następujące... Poniżej idzie wykaz sum pieniężnych, przeznaczonych dla najrozmaitszych instytucji warszawskich, jak szpitale, domy sierot, kościoły, przytulki, sanatoria, czytelnie bezpłatne, towarzystwa wzajemnej pomocy, pogotowie ratunkowe i t. d. Nie zapomniano i o stypendyach dla uczącej się młodzieży, ani o koloniach letnich, ani o sekcji przemysłu ludowego. Zapisy w sumie ogólnej wynoszą 128,000 rubli. Przy rozkładzie ich uwydatnia się istotna znajomość społeczeństwa i jego potrzeb najpilniejszych.

Widać z tego, że zmarły przemysłowiec nie zasklepił się w szczupłym kole dążeń egoistycznych. Dorobiwszy się majątku nakładem własnej pracy i energii, nie zatracił on widocznie poczucia, że, zawdzięczając społeczeństwu dobra materialne, ma względem tego społeczeństwa obowiązki bardzo poważne. Tego rodzaju poczucie—zaznaczamy to z przyjemnością—posiada niemal cała sfera kupiecka i przemysłowa w miastach, a szerokie sfery naszego obywatelstwa wiejskiego na wsi; ich rozumna, obmyślana z góry ofiarność nigdy nie chybia celu i przynosi pożytek realny.

✱

Stanisław Szczepanowski.

Dnia 1 b. m., w przeddzień „święta zmarłych“ zakończył życie Stanisław Szczepanowski. Umarł na atak sercowy w Nauheimie, gdzie przebywał na kuracji.

Życie, które w swoich powikłaniach tragicznych często przewyższa wyobraźnię poetów, położyło na tym człowieku swoją ciężką, bezwzględnie dłoń bezlitośnie i zgruchotało niepowetowanie siłę, rokującą najpiękniejsze w służbie społecznej nadzieje. Zgon przeto jest chyba wyzwoleniem dla tego, który nie miał już możliwości odbudowania na ruinie wymarzonej swoich celów i dążeń.

Katastrofa Szczepanowskiego z kopalniami Schodnicy i galicyjską kasą oszczędności, wszystkim chyba stoi w żywej pamięci, a to, co „Tygodnik“ podawał o zmarłym teraz męczenniku aspiracji obywatelskich, uwalnia nas od kreślenia jego życiorysu i pozwala poprzestać na wyrażeniu żalu nad świeżą mogiłą.

Jeden z dzienników galicyjskich, nie należący do stronnictwa, które Szczepanowskiego liczył do swoich, takie słowa kreśli pod wrażeniem jego zgonu: „Do Panteonu on nie wejdzie, ale stanie w szeregu tych smutnych cieniów, którym nawet po śmierci przeznaczono szukać dróg cichych do odpocznienia, za którymi zwykliśmy spoglądać w milczeniu szacunku dla wielkiego nie-szczęścia i z prawdziwym chrześcijańskim współczuciem.“ Ten głos przeciwnika politycznego jest może najlepszym świadectwem wartości człowieka.

Poetyckie hasło: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar według sił“ — przeniósł on w życie spo-



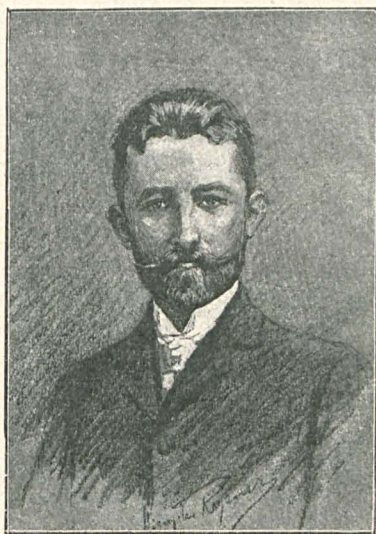
Stanisław Szczepanowski.

leczne i doznał klęski, która dotknęła nie tylko jego samego, lecz i jego zamiary; wierzył w siebie, ponieważ wierzył w sprawę, której chciał służyć, ponieważ wierzyli w niego inni, podtrzymując w nim zapał, zamiast rozwagi. Te były okoliczności łagodzące w katastrofie Szczepanowskiego, i one też sprawiły, że straciwszy wszystko, nie stracił czci i zeszedł do grobu z przebaczeniem społeczeństwa i żalem nieklamany.

Tragedya życiowa Szczepanowskiego, niezależnie od osobistej strony, powinna wszelako pozostać wymowną przestrogą dla ogółu i jego działaczy. Albowiem smutna ta sprawa nie jest pozbawiona przyczynowego związku pomiędzy danym faktem a znamionami ułomnościami społeczeństwa. Takie powikłania pojęć i czynników złego i dobrego możliwe jest tylko w narodzie, któ-

ry, od wieków pielęgnując w sobie cnoty heroiczne, nie mógł czy nie umiał rozwijać równomiernie tak zwanych cnót handlowych.

Tego samego dnia, gdy na obczyźnie prze-



Kazimierz Odrzywolski.

trwałem nie tylko w ubolewaniu nad losem zmarłych, lecz i w zasadniczych konsekwencjach, które tak wstrząsająco przemawiają do żywych...

Nasze ryciny.

Z cyklu „Fredrowie“ Juliusza Kossaka. „Jednym z tych, w którego dziełach najwszechstronniej, najbezwzględniej, najbezpośredniej odbija się charakter i duch plemienny, rasowe właściwości i kultura długowieczna, i świat zewnętrzny, w którym naród żył i działał, jest Juliusz Kossak. Na całym tym obszarze ziemi, na którym się rozegrał dramat dziejowy narodu polskiego, na którym pozostało życie polskie lub jego wspomnienie, wszędzie się tam spotyka z twórczością Kossaka.“ Słowa powyższe, wyjęte ze znakomitej monografii Witkiewicza, określają dokładnie postać artysty naszego i jego olbrzymią działalność. Istotnie Kossak, jako malarz „życia polskiego“ w szerokim znaczeniu tego wyrazu, był wszechstronny. Nie więc dziwnego, że w twórczości jego motywy historyczne zajmują miejsce bardzo poczesne. W tym zakresie Kossak posiadał „rozmach“ równie szeroki, jak i w każdym innym. I tu też tworzył kompozycje na wielką skalę, obejmujące całe epoki dziejowe. Do takich kompozycji należy cykl p. n. „Fredrowie.“ Nie należy jednak sądzić, że mamy tu do czynienia z illustrowaną kroniką rodzinną: Fredrowie występują tu jako tło, i na tem tle Kossak odtwarza dzieje narodu, dzieje, w których rodzina Fredrów odegrała rolę wybitną, rodowi dobrze zasłużoną ojczyźnie. Obecnie z cyklu tego wyjmujemy kilka rycin, do których podajemy objaśnienie. Pierwsza z nich wyobraża fakt historyczny, mający związek bezpośredni z nazwiskiem „Fredro.“ Oto, wedle heraldyków, Fredrowie zwali się Mierzbami. Jeden z nich, Dobiesław Mierzb, piastował urząd marszałka Kazimierza Wielkiego w r. 1368. Dobiesław razu pewnego, w obliczu królewskim, potykał się z Niemcem, który go był wyzwał na pojedynek. Dobiesław tak dzielnie natarł na przeciwnika, że go powalił. Niemiec zwyciężony zaczął wołać o łaskę: „Friedher, Friedher!“ Zwycięskiego Dobiesława od tej chwili poczęto zwać Friedherem. Nazwa ta z biegiem czasu w ustach szlachty polskiej przekształciła się na: Fredro. Chwilę zwycięstwa Dobiesława wyobraża właśnie nasza rycina.

Potomek Dobiesława, Andrzej Fredro, wojewoda podolski (zm. 1496), dokonał znakomitego czynu wojennego, który Kossakowi służył za motyw do drugiej z załączonych tu rycin. W czasach owych Wołosi i Tatarzy, uczyniwszy najazd

na Rzeczpospolitą, nabrali mnóstwo jeńców i wszelkiego łupu i szybko uchodzili. Andrzej Fredro ze szczupłym hufcem uderzył na nich, rozgromił doszczętnie dziewięciotysięczny tłum najeźdźców i oswobodził cztery tysiące jeńców, oraz cały łup w postaci 100,000 sztuk bydła. Za czyn ten wojewoda podolski dostał starostwo kamienieckie. Kossak wybrał do obrazu tę chwilę, kiedy Andrzej Fredro, rozgromiwszy wrogów, oswobadza wziętych do niewoli, którzy jak do zbawcy ręce ku niemu dziękczynnie wyciągają.

W pozostałych trzech rycinach widzimy, jak i na poprzednich, odbicie tego lub owego momentu życia naszego na tle faktów z życia rodziny Fredrów. Mamy więc naprzód okazałe poselstwo polskie, wjeżdżające do grodu Padyszacha w r. 1500. W dali widać wieżę minaretów Konstantynopola, a na ich tle występują bogate kostiumy i twarze rycerskie Polaków. Na czele jedzie Wawrzyniec Fredro.

Jak wiadomo, słynny komedyopisarz był w wojsku w okresie lat od 1809 do 1814. Otóż z tej doby jego życia Kossak wybrał epizod w r. 1813 pod Hanau. Na rycinie, obok młodzieńczej, dzielnej postaci Aleksandra Fredry, spoglądającego z całym spokojem na pękający u stóp jego granat, zwraca na siebie uwagę postać Napoleona, który wśród wrzawy bojowej rozmawia z adiutantem.

Wreszcie z cyklu „Fredrowie“ mamy na ostatniej z wymienionych rycin Edwarda hr. Fredrę, kapitana w 6-m pułku ułanów r. 1813. Młody wojak stoi na czele szwadronu konno, a szeregowiec obwiązuje mu ranę.

Juliusz Kossak: *Budrys*. W numerze dzisiejszym, w znacznej części poświęconym działalności Juliusza Kossaka, podajemy między innymi rysunek zmarłego malarza, wykonany specjalnie dla „Tygodnika Illustrowanego“ na kilka tygodni przed śmiercią artysty. Jest on illustracją do utworu Mickiewicza: „Trzech Budrysów“, i wystawia powrót do wsi rodzinnej jednego z synów Litwina. Wiezie on na siodle nie skarby, zdobyte w ziemi ościennej, lecz brankę, którą sobie na żonę przeznaczył.

Pomnik Aleksandra Fredry w Krakowie. Pan Konstanty Wołodkiewicz, zamieszkały w Odesie, który już ozdobił plantancye krakowskie śpiżowym pomnikiem lirnika Bojana i takimże biustem Chopina, obdarzył tymi dniami Kraków pomnikiem Aleksandra Fredry, ustawionym na środku pięknego gazonu przed nowym teatrem miejskim. Pomnik ten wyobraża w naturalnej wielkości nader udatne popiersie nieśmiertelnego komedyopisarza, wykute z kararyjskiego marmuru przez znanego Cypryana Godebskiego, a ustawione na podstawie z polerowanego granitu śląskiego, pomysłu młodego architekta krakowskiego, profesora Józefa Pokutyńskiego. Na frontowej ścianie podstawy pod emblematem komedyi znajduje się prosty napis: „Aleksander Fredro 1793-1876.“ Cały pomnik ma 5 metrów wysokości i robi nadzwyczaj sympatyczne wrażenie.

Od p. Czesława Jankowskiego otrzymujemy, z prośbą o zamieszczenie, list następujący:

„Szanowny Panie Redaktorze.

W poprzednim numerze „Tygodnika“ pan L. Uziębło przy końcu—zacznej skądinąd—wzmianki swojej o mogile Syrokomli wprowadził w błąd czytelnika, rzeczy nieświadomego. Nigdy w „Powiecie Oszmiańskim“ nie twierdził, iż nie wiemy, gdzie urodził się Syrokomla. Mówiłem tylko o zaniedbanu i nieposzanowaniu miejsc, jego pobytom upamiętnionych, o powszechnem nieinteresowaniu się nimi, o nieznanu ich. Stąd cytowany wykrzyknik, który zupełnie inne—niż pod piórem p. Uziębły—ma znaczenie w związku z całym ustępem, tyczącym się Syrokomli w II tomie „Powiatu.“

Racz przyjąć, Sz. Redaktorze etc.

Czesław Jankowski.“

Kronika powszechna.

Ze świata katolickiego.

Z jasnych kartek. Komitet rzymski do spraw katolickich wystąpił z inicjatywą urządzenia wielkiej uroczystości jubileuszowej z powodu 25-lecia pontyfikatu i 50-lecia kardynatu Leona XIII. Rocznicę tę przypadają dopiero w r. 1903, a Ojciec św. liczy już 90 lat wieku z górą.—Jeden z najświatlejszych pastorów norweskich, dr Krogh Tonning z Chrystyanii, złożył niedawno katolickie wyznanie wiary. Nawrócenie to, które podniósł wysoko i rozgłosił słynny literat norweski, Bjönstjerne Björnson, sprawiło w całej Skandynawii ogromne wrażenie. Dr Tonning bowiem, dla zadosyćuczynienia wewnętrznemu głosowi przekonania, porzucił bogate proństwo, wyrzekł się zaszczytnego stanowiska, zerwał i potargał wszystkie węzły, które go ze światem łączyły, i przeniósł się do Aarhus, w Danii, gdzie przyjął gościnę u katolickich misjonarzy. Chociaż dotknięty nieuleczalną niemocą fizyczną, czuje się niewymownie szczęśliwym, zwłaszcza, że rodzina jego przyjęła ten krok, pociągający za sobą gwałtowną zmianę w położeniu materialnym, z zupełnym poddaniem.—Dziwnej tak samo przemiany dokonał katolicyzm swego czasu w duszy literata francuskiego, Henryka Lasserre'a. W ciężkiej chorobie oczu użył on niegdyś cudownej wody ze źródła Lurdzkiego i został uleczony. Od tej pory Lasserre stał się żarliwym katolikiem i głosicielem chwale Matki Boskiej z Lourdes, i co dziwniejsza, z bardzo średniej miary publicysty wyrósł na genialnego niemal pisarza. Główne dzieło jego, dotyczące historii objawień N. Panny w Lourdes, rozeszło się w milionach egzemplarzy, a polski przekład tego dzieła był dokonany z 52-go wydania francuskiego. I owóż ten historyk i poeta Matki Boskiej Lurdzkiej przed kilku tygodniami dokonał chwalebnego żywota w posiadłości swej, Sierac, we Francji południowo-zachodniej, w 72-m roku życia. Ale piękny duch jego pozostał we Francji zaklęty w jego dziełach i będzie długo jeszcze budził uczucie religijne w sercach Francuzów.

Ks. I. Ch.

Z prasy polskiej.

Świat artystyczny N. 3: „Którzy idziemy!” wiersz Maryi Konopnickiej; „Władysław Łuszczkiewicz” przez Stanisława Tomkiewicza; „O pierwiastku poetyckim w sztukach plastycznych” przez Maryana Massoniusa. — *Słowo*: „Tryumf imperyalizmu w Anglii.” — *Wszechświat*: „Jakób Waga” (z powodu setnej rocznicy urodzin). — *Wiadomości matematyczne*: Wł. Gosiewski „Z dziedziny rachunku prawdopodobieństwa,” dalszy ciąg oryginalnej i głębokiej pracy znakomitego matematyka naszego. — *Niva Polska*: „Świat syoński.” — Wyszedł z druku „Rocznik towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych,” zawierający sprawozdanie z działalności Towarzystwa przez W. Janowskiego, przewodniczącego w zarządzie.

Sienkiewicz we Francji.

W przekładzie francuskim zjawiała się legenda „Na Olimpie,” oraz „Pójdźmy za Nim” w tłumaczeniu, dokonanym przez współpracownika „Revue Blanche,” p. Józefa Janasza, który przełożył także część tomu I i cały tom II „Quo vadis,” wydanego ostatnio pospołu z p. B. Kozakiewiczem.

Trzecim tłumaczem dzieł Sienkiewicza jest znany powieściopisarz francuski, hr. Antoni Wodziński, który pierwszy zaznajomił Paryżan z „Bez dogmatu,” „Krzyżakami” i „Quo vadis,” w artykułach, drukowanych w „Nouvelle Revue.” Pan Wodziński wydał również w streszczeniu „Bez dogmatu,” przełożył „Rodzinę Połanieckich” i pospołu z p. Kozakiewiczem wykonał przekład „Ogniem i mieczem,” który w b. m. wyjdzie z pod prasy.

Polityka.

Sprawa chińska od tygodnia wcale nie posunęła się naprzód ku rozwiązaniu. Wojska związkowe w dalszym ciągu tępią bokserów w zajętych okolicach, przyczem stosowane są surowe środki represyjne, dyplomaci zaś w Pekinie konferują jeszcze nad programem żądań, jakie mają zadyktować Chinom. Tymczasem dwór chiński nie myśli wracać do Pekinu, a w otoczeniu cesarza, niezależnie od edyktów obliczonych na ułagodzenie mocarstw, bierze znowu przewagę tendencja wsteczna. — We Francji otwarto dnia 6 b. m. sesję parlamentu, który zastaje jeszcze wystawę powszechną otwartą, gdyż przedłużono ją do dnia 11 b. m. Sesja zapowiada się burzliwie, gdyż zapowiedziano około 40 interpelacji, w najrozmaitszych kwestiach. Za pomocą tej kampanii przeciwnicy chcą obalić gabinet Waldeck-Rousseau, który, jak na stosunki francuskie, trwa już zbyt długo. Czy się to uda, jest wątpliwym, gdyż Waldeck-Rousseau okazał się w istocie politykiem równie zręcznym jak śmiałym, a obecnie zdaje się



Ks. Henryk Mecklenburg-Schwerin

stać silnie. — W Hiszpanii wybuchła rewolucja karlistowska. Rząd madyrycki nie puszcza depezy, ale listowne doniesienia korespondentów do gazet zagranicznych przedstawiają sprawę jako dość poważną. Stwierdza to zresztą fakt, że ogłoszono w całym kraju stan oblężenia.—Dnia 6 b. m. odbyły się w Stanach Zjednoczonych

wybory elektorów, którzy będą głosowali na prezydenta Unii. Wszelkie widoki zwycięstwa ma dotychczasowy prezydent Mac-Kinley. Kontrkandydatem jest znowu demokrat Bryan. — W dzisiejszym numerze „Tygodnika” dajemy portrety królowej Wilhelminy holenderskiej i jej narzeczonego. Zaręczyny odbyły się niedawno. Wybranym królowej jest książę Henryk Meklembursko-Szweryński. Przy boku królowej będzie miał tylko stanowisko księcia małżonka.

Jubileusz Sienkiewicza

Komitet, zajmujący się jubileuszem Sienkiewicza, na posiedzeniu pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza, oznaczył termin obchodu jubileuszu na dzień 22 grudnia. Uroczystość odbędzie się w Teatrze Wielkim. Rozpocznie ją kantata, skomponowana specjalnie przez dyrektora Lutni warszawskiej Piotra Maszyńskiego. Na dalszy ciąg obchodu złożą się żywe obrazy, których układem zajmuje się grupa artystów-malarzy; wreszcie najwybitniejsi aktorowie teatru Rozmaitości odegrają jednoaktową komedię jubilatą „Wesele Zagłoby,” świeżo wykończoną. Dochód czysty z widowiska utworzyć ma fundusz wsparcia dla wdów i sierot po literatach, przy warszawskiej Kasie literackiej.

Zmarli.

Kazimierz Odrzywolski, główny właściciel i kierownik firmowy wielkiego przedsiębiorstwa naftianego, które powołał do życia Szczepanowski, zmarł w Schodnicy. Ś. p. Odrzywolski był jego szwagrem i przyjacielem, a gdy nastąpiła katastrofa z Kasą oszczędności we Lwowie, oddał cały swój majątek do rozporządzenia jego wierzycieli, jakkolwiek wobec prawa nie był za długi szwagra odpowiedzialny. Ten czyn dobrowolnego poświęcenia



Królowa Wilhelmina holenderska.

milionowego majątku, celem uratowania dobrego imienia blizkiego sobie człowieka i ocalenia wielkiej instytucji finansowej od ruiny, a szerokich kół publiczności od strat, dostatecznie charakteryzuje nieboszczyka. Los chciał, że zakończył życie tego samego dnia, co Szczepanowski w Nauheimie.

Maks Müller, jeden z najznakomitszych uczonych współczesnych, zmarł w Oksfordzie d. 28 października. Z pochodzenia Niemiec, urodził się dn. 6 o grudnia r. 1823 w Dessau, jako syn poety, Wilhelma Müllera. Większą część życia spędził w Anglii, tak, że uważać go można za uczonogo angielskiego. Studya uniwersyteckie odby-



Maks Müller.

wał w Lipsku i Berlinie, a już w owych czasach badania sanskrytu poświęcał się ze szczególnym zajęciem. Pierwszym owocem tej pracy było wydane w r. 1844 tłumaczenie słynnego zbioru bajek p. t. „Hitopadeśa” (Przyjazne wskazówki), który dziś jeszcze używany jest w szkołach indyjskich. Pragnąc zebrać materiały do przekładu ksiąg „Rig-Vedy,” Müller pojechał do Paryża, a następnie do Londynu i tu, dzięki poparciu Bunsena, otrzymał od kompanii wschodnio-indyjskiej fundusz na wydanie tego najstarszego zabytku sanskrytu, razem z komentarzem Sayany. Pomnikowe to dzieło drukowane i wydawane było w Oksfordzie, dokąd przeniósł się Müller i gdzie już pozostał, powołany na katedrę filologii porównawczej. W r. 1872 rząd niemiecki wezwał Müllera na profesora uniwersytetu w Strasburgu, ale znakomity uczony, choć zrazu wezwanie przyjął, powrócił niebawem do przybranej ojczyzny, gdzie już pozostał. W r. 1876 ustąpił ze stanowiska profesora, by móc zupełnie poświęcić się badaniom naukowym. Z licznych wyników tej pracy wymieniamy: przekład na język angielski „Świętych ksiąg Wschodu,” których serya trzecia, poświęcona przeważnie buddaizmowi, nie jest dotychczas jeszcze całkowicie wydana, „Historię literatury sanskrytu,” „Wykłady o językoznawstwie,” „Wybór szkiców o języku, mitologii i religii,” „Wstęp do umiejętności porównawczej religii,” któremu to przedmiotowi poświęcił jeszcze szereg dzieł innych; wszystkie te prace pisane są po angielsku. Próbował też sił i na polu beletrystycznym: napisał powieść p. t. „Miłość niemiecka.” W ostatnich czasach zabierał głos w sprawie natury politycznej: gdy z powodu wojny z Burami prasa niemiecka rozpoczęła kampanię przeciw Anglii, ostrzegł rodaków swoich przed temi napaściami. Müller był jednym z 8 u członków zagranicznych Instytutu francuskiego, który w r. 1849 przyznał mu nagrodę Volney'a.

Imperyalizm amerykański.

Nazwę imperyalizmu, albo dżingoizmu nadaje się dążeniom państw zaludnionych przez rasę anglosaską, która uważa się za urodzoną władczyńnię świata. Istnieje więc imperyalizm brytyjski i imperyalizm amerykański. Pierwszy znalazł swój wyraz w osobach Cecila Rhodesa, Chamberlaina i Kiplinga, przedstawicielem drugiego jest Mac-Kinley, obecny prezydent Unii, którego kadencja kończy się właśnie, i który ma wielką ochotę być wybranym ponownie. Pisma amerykańskie, pragnąc osłabić agitację partii antyimperyalistycznej, starają się rozbudzić w społeczeństwie amerykańskim poczucie dumy i wykazują graficznie, jak wielki szmat ziemi zajmują Stany Zjednoczone. Rzeczywiście, jak widać z załączonego rysunku, który reprodukuje my z ilustracji francuskiej, na terytorium Stanów Zjednoczonych może się mieścić 19 Francji, albo 32 Anglii, albo też cała masa królestw, republik europejskich, azjatyckich i afrykańskich, z wyjątkiem naturalnie Rosji i Chin, które również zajmują olbrzymie przestrzenie i przewyższają na tym punkcie Stany Zjednoczone. *ut.*

Kroniczka fotograficzna.

„Photographische Chronik“ podaje sposób, jak zrobić odbitki fotograficzne przezroczystymi. W tym celu potrzeba je zanurzyć do kąpieli ogrzanej do 80° Celsjusza, a składającej się: z parafiny 40 gram, lnianego oleju 10 centymetr. sz. Czas trzymania odbitki w kąpieli powinien trwać półtę, póki nie nabierze ona przezroczystości przepalając się zupełnie. Po wyjęciu osączyć odbitkę, włożyć na krótki czas w czystą bibułę filtrową. Przezroczyste odbitki mogą być użyte z powodzeniem do robienia dyapozytów, w tym celu potrzeba je przyklejać do szkła klejem następującym: karuku 100 części, cukru 20 części, z dodaniem wody ciepłej tyle, ażeby utworzyć dostatecznie kleistą masę. *Wł. K.*

Ze świata kobiecego.

Profesorowie medycyny na uniwersytecie wiedeńskim, rozpoczynając obecnie wykłady, potrącają w przemowach inauguracyjnych do słuchaczy sprawę uczęszczania kobiet na wydział lekarski, a to z powodu wydane go niedawno prawa, które pozwala kobietom w Austrii studiować medycynę. Między innymi zabierał w tych dniach głos w tej sprawie słynny gi-

procent osiąga cel zamierzony. Należałoby dopuścić kobiety do innych studiów, aby się nie poświęcały jednostronnie medycynie, np. do studiowania prawa. Prof. Schauta domaga się, aby dopuszczono kobietę do uczestnictwa w wielkiej walce, jaką staczają mężczyźni, niesprawiedliwością byłoby bowiem wyłączać je, skoro są uzdolnione. W końcu zalecał profesor swoim słuchaczom, aby uważali kobiety,

torek fabrycznych. Uczestniczki zgromadzenia poruszyły też sprawę rozta- czania opieki prawnej kobiet nad nie- letniemi, wreszcie postanowiły doma- gać się, aby przy zawieraniu małżeństw kobiety mogły sobie zastrzegać inter- cyzją pewną sumę na wydatki osobiste i domowe, stosownie do własnego po- sagu lub dochodów męża.—Panna Ja- nina Harrison powołaną została na drugą katedrę archeologii klasycznej w Newnham College w Cambridge.

Humor i satyra.

— Panie konduktorze, czy mam jesz- cze tyle czasu, żeby pożegnać się z żoną?

— Nie umiem panu powiedzieć... A jak dawno szanowny pan żonaty?

☆☆☆

Troski, podobnie jak ptaki wędrow- ne, powracają chętnie do starego gniazda.

☆☆☆

Więcej ludzi opłaciło życiem tchó- rzostwo, niż odwagę.

☆☆☆

Każdy nosi w duszy obraz kobiety, wzorowany na własnej matce, stąd też zdecydowany jest szanować kobie- ty wogóle, lub niemi pogardzać, albo też być dla nich zupełnie obojętnym.

☆☆☆

Z wykładu doktora medycyny

Ręka w rękę z prawem okiem spuch- ła lewa noga.

☆☆☆

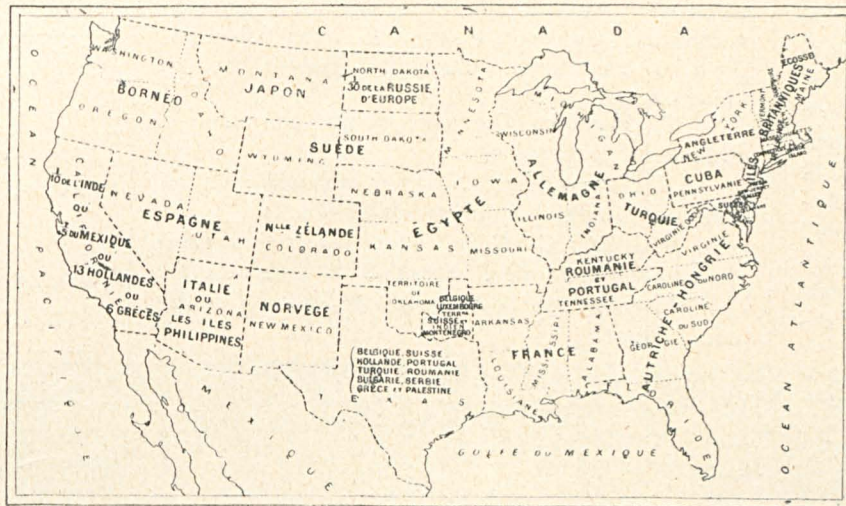
Piękne za nadobne.

— Słyszałam, że pan pisujesz poe- zye. Czy drukowano już jaki pański utwór?

— Mówiono mi, że mama dozwala pani kiedy niekiedy coś ugotować. Czy spożyto już kiedykolwiek którą z potraw przez panią przyrządzonych?

☆☆☆

Ludzie współcześni skłonni są do pesymizmu: z całego Achillesa widzą tylko piętę.



Obszar Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w porównaniu z obszarami innych państw.

nekolog, profesor Fryderyk Schauta. Wywodził on, że dopuszczenie kobiet do studiów wyższych jest kwestią społeczną, której zaniedbywać nie wol- no. Nie wszystkie kobiety mogą zo- stać żonami. W samym tylko państwie Niemieckim liczba kobiet przewyższa liczbę mężczyzn o milion, a przytem jeszcze nie wszyscy mężczyźni się że- nią. Pozostałe kobiety niezamężne tłumnie uprawiają niektóre tylko, złe płatne, zawody. Mniemania, że kobie- ty szczególnie nadają się do zawodu lekarskiego, profesor Schauta nie po- dziela. Ze stu studentek lekarkami zo- staje 33; sala sekcyjna odstrasza je w pierwszym roku. W Ameryce 18

o ile to możliwe, za równouprawnioną. Dotychczas zapisało się na wydział le- karski uniwersytetu wiedeńskiego 11 kobiet.—Zgromadzenie związku kobiet niemieckich, czwarte z kolei, odbyło się w Berlinie, pod przewodnictwem pani Maryi Stritt z Dreżna. W Niem- czech istnieje ogółem 131 związków kobiecych, a wszystkie dążą do tego, by umożliwić kobietom wstęp do wyż- szych przybytków wiedzy, do urzędów, zastanawiają się wszakże nie tylko nad wymaganiami i prawami, lecz i nad obowiązkami kobiet. Na zgromadzeniu odczytano katalog z wykazem zawo- dów, którym poświęcają się kobiety; domagano się dla nich posad inspek-

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Uniwersytet wileński (1579—1831).—Staraniem Komitetu, który się zajął specjalnie wydawaniem materiałów i opracowań, dotyczących historii wyższych zakładów naukowych naszych, i opublikował już „Akademię Zamojską,” dzieło zbytkownie ilustrowane, ukazały się dwa pierwsze, w 8-cę, tomy dziejów Wszechnicy Wileńskiej w su- miennej, a pod względem bibliograficznym świet- nej ocenie d-ra Józefa Bielińskiego. Autor (czło- nek komisji literackiej Akademii krakowskiej i czło- nek honorowy niektórych towarzystw lekarskich), niestrudzony a zasłużony wielce historyograf oświaty na Litwie, biegłym jest księgoznawcą, stąd i w danym zakresie stanął na wysokości zadania. Księgi, przypisane *Ad honorem quingenta- simi anniversarii Almae Matris Jagellonicae*, dla utrudnionych warunków wydawniczych, nie są dość obficie ilustrowane, więc zamiast 200-u por- tretów i pamiątek odpowiednich (przesłanych z Wil- na w fotogramach), cząstka zaledwie jest zu-

żytkowana. Tom 1-szy, o 485 str., w którym są traktowane *prawa, urządzenia zewnętrzne i majątek* uniwersytetu, zawiera: Dziedzinnic uniwersytecki, Protasewicza, Czartoryskiego, Strojnowskiego, Ob- serwatorium, Poczebuita, Massalskiego, berło i dwie pieczęcie wszechnicy; t. 2-gi, o 845 str., poświęcony *nauce*: b. teatr anatomiczny wileński, Śniadeckiego Jędrzeja, Jundzilla St., Sławińskiego, Franka Józ., Gołuchowskiego, Lelewela, Narusze- wicza, Capellego, Kłagiewicza, Groddka... Zaled- wo tyle w pierwszych dwu tomach, ale i te podo- bizny, we wspaniałej zwłaszcza grupie dokumen- tów historycznych wielkiej uczelni narodowej, wy- stępują z tła plastycznie, dosadnie, wiele mówią... Niedobrze, że opuszczono objaśnienia o autorstwie wizerunków w oryginałach; cynkografie atoli są bardzo ładne, a odbite na kartach kredowanych, przyczyniają się szczęśliwie ku ozdobieniu niedość efektownego pod względem typograficznym dzieła. Pojmuję to Bielińskiego ubolewanie, że chociaż czas

nadszedł na sąd bezstronny o znakomitej in- stytucji w różnych jej epokach, odpowiedzieć zadaniu w zupełności było niepodobna, dla braku całokształtu archiwalnego w materya- łach: zniszczonych, względnie do Akademii jezuickiej (egzystowała od 1579 do 1780), szkół Głównych Wielkiego Księstwa Litewskiego (1780—1797) i Ak. Wileńskiej (1793—1803), lub nie- dostępnych, ale niezupełnie zaginionych, z epoki cesarskiego uniwersytetu wileńskiego (1803—1831). Stąd utrudnienie wielkie w sprawdzeniu, dlaczego tak świetnie rozwijająca się w końcu XVI i pierw- szej połowie XVII stulecia akademia podległa reakcji przy nawiązywaniu stosunków z „wiekiem oświeconym,” a po półwieczu, już w stuleciu XVIII i następnem, czy godnie odpowiedziała przeznaczeniu swemu, jako instytucja naukowa. Wszystkie możliwe środki w dziele swem ogarnął Bieliński; wskazuje 66 najważniejszych, jak oto: Balińskiego M. chała, Preuschhoffa J., Rostowskiego, Kollataja-

Kojałowicza Wojc., Jochera, Browna J., Jundziłła, Rewkowskiego, wydawnictwa (z 1893 i 1897 lat) ministerium oświaty pod red. Kornilowa, gazety, broszury i t. p. rzeczy okolicznościowe, prace własne poprzednio wydane (jak np. „Stan nauk lekarskich za Akademii med. i matem. fizycznych z czasów Wszechnicy wileńskiej“), z archiwów Biblioteki publ. wileń., kapituły wileńskiej i wielu przyczynków rękopiśmiennych etc. Że bardzo wiele Bieliński zrobił, to pewna: pracowity, zdolny, obdarzony stylem jasnym i giętkim, pamięcią fenomenalną, zawsze prawie stoi na wysokości zadania w licznych i cennych swych pracach. Co do Uniwersytetu Wileńskiego jednak uczony nasz za wiele wziął na barki swe, przeciążone nadto zajęciem niełatwym w służbie lekarza pułkowego. Stąd obraz nie całkiem pełny, ale w dziale może tylko historii szkoły sztuk pięknych zaledwo w szczupłym zarysie nakreślonej. Co prawda, mało co w tym względzie zrobili jego poprzednicy, więcej atoli stosunkowo dokonali później niektórzy z archeologów, głównie z pośród art. malarzy. Nie ujmuje to jednak pomnikowej wartości *Uniwersytetowi*. L. U.

Rocznik Kijowskiego Towarzystwa Literacko-artystycznego. — Nadesłany nam rocznik powyższy w języku rosyjskim jest pierwszą pracą zbiorową Kijowskiego Towarzystwa Artystycznego. Towarzystwo to powstało w roku 1895, dziś zaś już posiada obszerną siedzibę, urządza zebrania, odczyty, koncerty—jednym słowem rozwija się nader pomyślnie. W *Roczniku* spotykamy wiele rzeczy ciekawych, mogących zainteresować szerokie koła publiczności. Obok niewydanych dotychczas oryginalnych pieśni, skomponowanych przez członków-muzyków, *Rocznik* zawiera nader sumienne szkice i studia literacko-muzyczne. Niejedno z tych studyów interesuje i ogół polski bezpośrednio. P. Tutkowski np. pisze o trudnościach, jakie następują dla pianisty dzieła Chopina, p. Ertel zaś o motywach psychologicznych twórczości tegoż mistrza. Obie te prace skreślone są ze znajomością rzeczy, i znać w nich szczerzy zapal dla sztuki. Prócz tego mamy w owym *Roczniku* piękny wiersz p. Glokke, wygłoszony na cześć Mickiewicza podczas Mickiewiczowskiego wieczoru Towarzystwa. W zakresie krytyki malarskiej p. Nikołajew omawia dwa obrazy historyczne Jana Matejki, zarzucając naszemu mistrzowi nieścisłość ze stanowiska prawdy historycznej. Znaczna liczba poezji, studyów literackich, opowiadań nowelistycznych składa się na całość pokątną, której Towarzystwu szczerze powinniśmy życzyć. Aspiro: W dolinie leż. Powieść współczesna. Warszawa, 1900.—Odrzuciwszy pretensjonalne określenie: „powieść“, otrzymamy opowiadanie, składające się z szeregu obrazków psychologicznych z życia pewnej grupy „inteligentów“. Treść opowiadania stanowią wzajemne bohaterów wywnętrzania się ze swych poglądów na temat małżeństwa i równouprawnienia kobiet wogóle. Gdy czytamy w pismach o serdecznej, niemal syzyfowej pracy kobiet w Poznaniu, lub w Europie wogóle, mimowoli oddaje się pokłon pracy wielkiej i silnej, jeżeli potrafiła zbudzić tyle tysięcy istnień z letargu duchowego. Jakże się przedstawiają emancypantki z „Doliny leż.“? Jedną z nich, mającą „wielkie, głębokie źrenice, pełne tajemniczych blasków“, okazuje się najwykleszą samiecą, dla której sprawy duchowe są równie dobrym środkiem kokieterii, jak i setki efektów fizycznych. Inna, znowu, na podstawie cudacznie spaczonych przesłanek socjologicznych, propaguje gwałt niektórych praw przyrody. Intencją autora było wi-

docznie ośmieszyć pewne wynaturzone i wyszczudzone poglądy i uczucia. Zaiste, jest to grupa ludzi, których duch świeci już blaskiem fosforu, i nie im „skruszyć lody i śniegi na leż dolinie...“ K. P.

»

Na cześć Jana Gutenberga z powodu pięćsetnej rocznicy jego urodzin, wydali drukarze krakowscy niewielką rozmiarami, ale ślicznie wydaną książkę, zawierającą wiązanek prac wierszem i prozą znanych literatów, wyczerpujący artykuł o Janie Gutenbergu, oraz wykaz drukarni krakowskich od r. 1465 do 1900, obejmujący ich przeszło setkę. Książeczka to ciekawa i dająca dobre pojęcie o dzisiejszym stanie drukarstwa krakowskiego.

G. Ferrero: *Czynniki postępu moralnego*. — Przekład z francuskiego.

Z. Muensterberg: *Nauka w stosunku do życia i sztuki*. Z angielskiego przełożył Wł. D.

S. Belot i Ch. Gide: *Miłosierdzie, sprawiedliwość o dobór naturalny*. Przekład z francuskiego. Trzy powyższe broszurki wydane są nakładem „Głosu.“



ODPOWIEDZI.



P. S. P. R. Bardzo liche.
P. M. R. „Głos dzwonu“ brzmi bardzo słabo. Nie.
O—ski. Składnia i rytmika okropne.
Jedną z nielicznych. Jest to rzeczywiście „drobnostka“—nie więcej!

P. J. Starkel. Przełożył; jak?—wcale nie-szczególnie.

X. X. X. Portret jest pendzla Pochwałskiego; nazwiska autora portretu, o którym Sz. Pan wspomina, nie znamy.

P. I S. Ten pierwszy wiersz powinien pozostać—ostatnim.

P. Bukowski W. w Noworosyjsku. Początku powieści p. t. „Faraon“ Prusa nie mamy. Cała powieść wyszła w książce. Żądane adresy są: Towarzystwo kolonii letnich, ul. Hortensya Nr. 1; redakcja „Gońca Handlowego“, ul. Jasna Nr. 6, w Warszawie.



Od redakcyi.



Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rub. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rub. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.

Kwartal I Tygodnika ilustrowanego z roku bieżącego jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rub. 1 kop. 50, lub rub. 2 za też tomy w oprawie.

» N A D E S Ł A N E . «

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA

KRZYŻACY

HENRYKA SIENKIEWICZA

Powieść historyczna.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

4 tomy. Cena rub. 5, w oprawie rub. 6 kop. 60, przesyłka 50 kop.

CENA ZNIŻONA Rub. 2

UPOMINEK

KSIĄŻKA ZBIOROWA

NA CZĘŚĆ 25-CIO (1866—1891) LETNIEJ PRACY LITERACKIEJ

ELIZY ORZESZKOWEJ

WYDANIE OZDOBNE W DUŻYM FORMACIE IN 4-0 (STR. 611), ZAWIERAJĄCE 227 PRAC CELNIEJSZYCH AUTORÓW I AUTOREK Z LICZNYMI POR-

TRETAMI, NA PIĘKNYM PAPIERZE, RUB. 5.

PRENUMERATOROWIE „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ KORZYSTAĆ MOGĄ Z OKAZJI NABYCIA POZOSTAŁEJ NIEZNACZNEJ LICZBY EGZEMPLARZY PO WYJĄTKOWO ZNIŻONEJ CENIE RUBLI 2, Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ RUBLI 2 KOPIEJEK 50.

SIENKIEWICZA

PORTRET KOLOROWY

do nabycia we wszystkich księgarniach

po Rb. 1.50.

Nadsyłający należność wprost do Administracji „Tygodnika Mód i Powieści“,

w WARSZAWIE,

26, Chmielna 26,

nie ponoszą kosztów przesyłki.

Album Sienkiewicza.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henryka Sienkiewicza w 20 ilustracjach, wykonanych w heliograviurach, według rysunków: Brandta, Chełmońskiego, Kamińskiego, Kotarbińskiego, Pochwałskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachewicza i Wodzinowskiego, ze wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie in 4-to, w ozdobnej oprawie, rub. 8.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimka 49, róg Marszałkowskiej.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniając. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

PRZEPROWADZKI
A. WRÓBLEWSKI i S^{KA}
TREBACKA 13.
OPAKOWANIE
MEBLI